Wpisano do kontrolki periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 26. III. 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 27 marca 1960 r.

Nr 12 (108) Cena 1 zł

Dziewczyna z „Pstrąga"

Fot. W. Machejko

Flatrować nie wolno — recenzję z „PSTRĄGA" czytaj na str. 7

Fot. W. Kraska

ZBIGNIEW NIENACKI

„Modnisie" z Piotrkowskiej

Ostatnimi czasy w małym światku literacko-dziennikarskim m. Łodzi — ograniczonym z jednej strony ul. Mickiewicza 8 (Dom Literatów), Klubem Dziennikarza i kawiarnią „Honoratka" (ul. Moniuszki 2) — krzewią się dwie osobliwe mody. Kronikarz naszego miasta zapewne nie zwróciłby na nie uwagi, gdyby nie fakt dość istotny: mody owe przedostają się na łamy gazet łódzkich i warszawskich, stają się własnością publiczną i dezorientują czytelnika, któremu redaktorzy zdają się wmawiać, że nie ma nic ważniejszego niż to, co pan W. powiedział o panu K., a pan Y o pani Z. (nie mieszać z Listami do pani Z" przypis autora). Łódzki czytelnik dowiaduje się z prasy, że oto w mieście naszym, ba, w samym jego centrum — klubie dziennikarskim — siedzą jacyś młodzi ludzie („renegaci"), których jedynym zajęciem jest redagowanie donosów na Łódź, i zamieszczanie tych elaboratów w prasie warszawskiej, a szczególnie we „Współczesności". Gazety łódzkie zaś poczynają się specjalizować w dawaniu odporu „renegatom" oraz zamieszczaniu enuncjacji lub zwykłych napaści na młodych pisarzy i w ogóle młodych twórców. Moda jest więc dwojaka: dobrze jest pisać źle o Łodzi, i dobrze jest pisać źle o młodych pisarzach m. Łodzi *).

„Modnisie" łódzcy na ogół używają ostrego, napastliwego tonu i posługują się brzydkim stylem. Nie są to więc mody godne szerszego rozpowszechnienia. Dlatego — myślę — warto pomyśleć o ich zmianie. Zbliża się bowiem wiosna...

PISARZE W BUTELCE

Moda pierwsza wiąże się z osobą młodego człowieka, nazwiskiem Andrzej Brycht. Młody ten człowiek, zresztą utalentowany, rozgoryczony na swoje miasto, w którym, jak uważał, nie dosyć został oceniony — opublikował we „Współczesności" reportaż. Przyrównał w swym reportażu ulicę Piotrkowską do jakiegoś kanału, gdzie ściekają wszystkie brudy, miasto zaś — Łódź, zaludnił samymi prostytutkami i alfonsami, wśród których pisarz nie ma co robić i nie ma gdzie drukować.

Młody ów pisarz wrócił wkrótce na łono swego miasta. Przyjęto go jak biblijnego „syna marnotrawnego", poczęto go publikować w „Odgłosach", dla których napisał szereg pięknych reportaży o naszym mieście. Miasto — w tych reportażach — okazało się takim samym jak inne w Polsce, a ludzie ciekawi, ba, nawet piękni (że przypomnę reportaż Brychta o Widzewie). Brycht otrzymał od miasta chyba prawie wszystko, na co miasto to było wtedy stać — nagrodę Wiosny Poetyckiej PAX-u (sic!) i tygodnika „Odgłosy", ciągle zamówienia na publikacje.

Czy jest zadowolony? Czy sądzi już dobrze o swym rodzinnym mieście? Nie wiem. To już nie moja sprawa.

Śladami Brychta próbował iść początkujący dziennikarz, Karol Badziak. Historia — jak mówi pewien mędrzec — niekiedy powtarza się. Ale raz jako dramat, a drugi raz — jako farsa. Artykuł Badziaka we „Współczesności" otrzymał ostrą odpowiedź Chylińskiego na łamach „Głosu Robotniczego". Z Badziaka zrobiono nieuka głupca, ignoranta. Aczkolwiek ton i argumenty użyte przez Chylińskiego budzą raczej niesmak, nie mogę nie przyznać, że ów młody dziennikarz nie grzeszy ani wiedzą o Łodzi, ani doświadczeniem. Jak większość młodych ludzi pióra w Łodzi, zakochany w amerykańskich mistrzach prozy — zarzuca na przykład w swym artykule pisarzom, że nie spotykają się z sobą. Ernest Hemingway którego K. Badziak tak uwielbia, pisze:

„Pisarze powinni pracować w samotności. Powinni widywać się z sobą dopiero po zakończeniu pracy, a i to nie za często. Inaczej stają się jak dżdżownice w butelce, próbujące czerpać wiedzę i pokarm z wzajemnych kontaktów i z samej butelki".

A więc chyba dobrze, że pisarze łódzcy tak rzadko widują się z sobą? Rzecz jednak w tym, że w rzeczywistości niektórzy pisarze spotykają się za często. Żyją w butelce. A swoją drogą warto, aby Karol Badziak bardziej uważnie wczytywał się w swego mistrza.

Karol Badziak napisał napastliwie i niesprawiedliwie o Łodzi. Niestety, nie zrobił w tym wypadku szybkiej kariery swego poprzednika. Mimo jednak tej niemiłej publikacji nikt w Łodzi Badziaka nie dyskryminuje, nie datuje jak tydzień temu widziałem jego nazwisko w „Odgłosach", otrzymuje ciągłe propozycje współpracy z pismami łódzkimi i radiem. A to przeczy enuncjacji Badziaka i lepiej niż co innego mówi o stosunkach panujących w Łodzi. W tym naszym mieście nie jest jeszcze tak źle.

NIE TEN PTAK GNIAZDO KALA...

Moda jest zaraźliwa. Pewien poważny profesor PWSF i pewien student udzielili wywiadu „Współczesności", w którym powiedzieli, że w Łodzi nie ma mowy o przeżyciu „przygody intelektualnej", że nic w Łodzi nie ma i należy stąd uciekać. Jerzy Waleńczyk udzielając krótkiej wypowiedzi dla studenckiego tygodnika „Od Nowa" w Warszawie orzekł, że w ubiegłym roku poza jego własną twórczością nie było w Łodzi żadnych wydarzeń kulturalnych. To jest urocza megalomania do której prawo ma każdy pisarz. Szczególnie młody. Dlatego niepotrzebnie tę krotochwilną wypowiedź uznano w Łodzi jako wyraz pogardy dla życia kulturalnego naszego miasta. Ale pogląd Waleńczyka, że w Łodzi nic się nie dzieje — dowodzi jednego: ten pisarz również żyje w butelce.

Odpowiedzi prasy łódzkiej na zaczepki młodych — przypominają mi pewne zdanie z pięknej książki pt. „Kubuś Puchatek":

„... I im bardziej Puchatek zaglądał do środka, tym bardziej przekonywał się, że prosiaczka tam nie było".

Im bardziej przeciwnicy młodych starają się udowodnić, że w życiu kulturalnym Łodzi jest wszystko w najlepszym porządku, im drobiazgowszych używają argumentów, tym bardziej widocznym się staje, że życie kulturalne naszego miasta ma wiele braków.

Młodzi pisarze i dziennikarze w swych „warszawskich" enuncjacjach dają się ponosić temperamentowi właściwemu młodości. Czasem plotą głupstwa, albo zapalają się niepotrzebnie, dlatego — choć niekiedy dotykają spraw słusznych — budzą sprzeciw.

Jak jednak powiedział Cyprian Norwid:

„Nie ten ptak gniazdo kala,
co je kala,
Lecz ten, co mówić o tym nie pozwala".

„KUKUŁCZE JAJO" PIECHALA

„Modnisie" zaczepiający Łódź udrapowani są w strój Herostratesa, który to podpalił świątynię. „Modnisie" drugiej strony — specjalizujący się w atakach na młodych pisarzy — przybierają pozy Katona. Niedawno czytałem w „Expressie" wywiad Naczelnego Redaktora, S. Juszczyka z poetą, Marianem Piechalem. W pierwszej części „spotkania z M. Piechalem" dowiedzieliśmy się o tym, jak to red. Juszczyk spał z nim pod jedną kołdrą, w drugiej części na chwilę dopuszczono do głosu samego poetę. Piechal pół swej wypowiedzi poświęcił krytyce młodych łódzkich pisarzy, za-

*) Pojęcie „młodzi pisarze", którego tak lubią używać „modnisie" — nie jest adekwatne ani pod względem wieku piszących, ani ich pozycji twórczej. Do jednego worka „młodych pisarzy" wrzucają 19-letniego autora trzech wierszyków i 34-letniego autora dwóch tomów wierszy, 30-letniego autora kilku powieści.

„Słodycz życia" na str. 3

BANDA z „Egzotycznej" na str. 5

Dokończenie na str. 6

JACEK LEBEN

Na warsztacie – rozbrojenie

Nie nowy jest ten warsztat. Używany od piętnastu lat. Już w Karcie Narodów Zjednoczonych stwierdza się, że ONZ powinna działać na rzecz powszechnego i trwałego rozbrojenia. Przez piętnaście lat mówi się o rozbrojeniu. Jest to jeden z najczęściej używanych terminów w problematyce międzynarodowej.

Wyścig zbrojeń trwa. W ciągu ostatnich dziesięciu lat państwa należące do Paktu Atlantyckiego wydały na zbrojenia 570 miliardów dolarów. Jest to suma tak astronomiczna, że jej rozmiar przekracza wyobraźnię normalnego człowieka.

Mimo tego są efekty rozbrojeniowych rozmów. W tej chwili niemal cała ludzkość i coraz szersze kręgi polityków zachodnich zdają sobie sprawę z tego, że wyścig zbrojeń prowadzi albo do nikąd albo do zagłady ludzkości. I nie tylko to. Opinia publiczna na świecie dzięki radzieckim propozycjom rozbrojeniowym zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że wyścig zbrojeń to nie złe fatum przed którym nie ma ucieczki, że rozbrojenie jest możliwe, a to znaczy bardzo wiele.

Kiedy Związek Radziecki przed dziesięcioma laty wysuwał propozycje rozbrojeniowe wówczas stwierdzono na Zachodzie, że jest to dowód słabości, że Zachód może osiągnąć swoje cele polityczne właśnie poprzez wyścig zbrojeń. Liczono na Zachodzie, że Związek Radziecki nie poradzi sobie z wyścigiem prowadzonym na wyżynach współczesnej nauki i techniki.

Propozycje rozbrojeniowe Związku Radzieckiego ginęły w stertach kontrpropozycji i uciążliwych rokowań które prowadziły do nikąd.

Lecz trudno jednocześnie przeciwstawiać się naciskowi opinii publicznej, która jak już wspomniałem zaczyna sobie coraz pełniej zdawać sprawę z możliwości rozbrojenia, z tego że rozbrojenie jest koniecznością, jest imperatywem. Trudno jest przerwać zamknięty krąg, ale to nie znaczy, że nie można go przerwać. Zwłaszcza kiedy jedna strona w dyskusji — świat socjalistyczny czyni wszystko by do przerwania tego zamkniętego tragicznego kręgu doprowadzić.

Generalna teza Związku Radzieckiego brzmi tak: trzeba doprowadzić do decyzji rozbrojeniowych, a w miarę porozumienia dotyczącego poszczególnych etapów rozbrojenia należy decydować o środkach kontrolnych. Jednym słowem chodzi o system kontroli dostosowany do rozbrojeniowych decyzji.

Stanowisko Zachodu jest inne. Wpierw należy sprecyzować drobiazgowy system kontroli i inspekcji, system ten musi zacząć działać, a dopiero później mogą nastąpić decyzje rozbrojeniowe.

Są to więc stanowiska przeciwstawne. Stanowiska te krzyżują się w ciągu dziesięciu lat.

Nie ulega więc wątpliwości, że każdy z nas śledzących nowy etap rozbrojeniowych rozmów musi sobie zadać pytanie: czy tym razem może dojść do decyzji rozbrojeniowych, czy za słowami pójdą czyny?

Klimat w jakim toczy obrady Genewska Konferencja Rozbrojeniowa jest niewątpliwie lepszy niż przed laty. Sam fakt, że w Genewie nie będzie działać maszynka do głosowania, że w obradach biorą udział przedstawiciele pięciu państw Wschodu i pięciu państw Zachodu świadczy o tym, że dyskusja powinna być konkretniejsza, mniej spekulatywna, nie obliczona na efekt zewnętrzny.

Dzisiaj Zachód może nie chcieć rozbrojenia z przyczyn taktycznych, czy koniunkturalnych. Minęły jednak czasy kiedy mocarstwa Zachodu uzasadniały konieczność kontynuowania wyścigu zbrojeń tym, że dzięki niemu osiągną zwycięstwo polityczne nad Związkiem Radzieckim. Mocarstwa Zachodu zdają sobie dziś sprawę z tego, że wygrać wyścigu zbrojeń nie mogą. Opinia publiczna świata jest jak nigdy jednomyślna w swoim dążeniu do rozbrojenia i to nieprzypadkowo wszystkie rządy na świecie licytują się w okazywaniu dążenia do rozbrojenia. Ponad to po raz pierwszy nastąpi w Genewie konfrontacja dwóch programów, które zakładają sobie jako cel powszechne rozbrojenie. Związek Radziecki używa terminu powszechne i całkowite rozbrojenie. Zachód o całkowitym rozbrojeniu nie mówi i to chyba jest symptomatyczne.

Dokument zachodni jest bardzo obszerny. Niestety jednak jest równie mętny i mało precyzyjny. Kładzie się w nim przede wszystkim nacisk na stworzenie w pierwszym etapie międzynarodowej organizacji rozbrojeniowej. Samo rozbrojenie ma być odsunięte daleko w siną dal. Jest to więc raczej plan zmierzający do kontrolowania zbrojeń ale nie rozbrojenia.

Nie muszę być zawodowym optymistą. Jestem raczej pesymistą w sprawach dotyczących perspektyw rozbrojenia w ciągu 1960 r. Republikański rząd Stanów Zjednoczonych nie uczyni chyba przed wyborami ani jednego kroku w kierunku rozbrojenia. Demokraci krzyczą bowiem na całą Amerykę: Kiedy Truman w 1951 roku, opuszczał Biały Dom mieliśmy przewagę militarną nad Związkiem Radzieckim, a w listopadzie 1960 roku, kiedy Biały Dom opuści republikanin Eisenhower po przewadze militarnej nie pozostanie ani śladu, zaś w broni rakietowej Związek Radziecki posiadać będzie dużą przewagę.

Genewska Konferencja Mocarstw Atomowych w sprawie wstrzymania doświadczeń z bronią termojądrową trwa już półtora roku i prace posuwają się naprzód w tempie pięciu uzgodnionych słów na miesiąc. Oby Genewska Konferencja dziesięciu państw pracowała w lepszym tempie.

Wydaje się jednak, że dopiero za dwa miesiące w czasie paryskiej konferencji na szczycie będzie już można precyzyjniej odpowiedzieć na pytanie czy tym razem za słowami pójdą czyny.

CUDÓW NIE MA (IV)

MAREK WAWRZKIEWICZ

Gdzie młodzież, a gdzie klasyka i nowoczesność?

Autor trzeciego felietonu z cyklu „Cudów nie ma" Jan Koprowski polemizuje z autorem dwóch poprzednich — Wiesławem Jażdżyńskim. Polemizuje, opierając się na bardzo starej zasadzie — tylko zaprzeczeń: Jażdżyński pisze, że młodzież odwraca się od przeszłości i gwiżdże na „Dziady" a Koprowski, że się nie odwraca i nie gwiżdże. Jażdżyński, że młodzież nie czyta naszych klasyków, Koprowski że czyta. Zabawa jest znakomita i warta zainteresowania choćby ze względu na to, że tu się polemizuje przy pomocy dobrego felietonu. Niestety, jest zabawą, a nie o to chodziło. Koprowski, jak mi się zdaje, zboczył z drogi i ostro popędził w innym kierunku. Blisko już stąd wprawdzie do dyskusji o stylu życia młodzieży, o nowoczesności w ogóle, dyskusja rozwinęłaby się, usłyszelibyśmy pewnie rewelacyjne sformułowania, ale powtórzmy, nie o to chodziło. Chodziło o zlikwidowanie przerostu historyzmu w nauczaniu literatury na korzyść zagadnień współczesnych, o zlikwidowanie stanu rzeczy doprowadzającego do tego, że młodzież opuszcza licea bez podstawowej nawet orientacji we współczesnym nam życiu kulturalnym, bez umiejętności rozumienia współczesnej literatury. Skoro jednak, powiedzmy to grzecznie, rozszerzono zagadnienie, zatrzymajmy się tutaj chwilę.

Rozczula mnie narysowany przez Koprowskiego obraz młodzieży garnącej się i do Prusa, i do Orzeszkowej, i do Konopnickiej. Obraz ładny i bardzo polski, bo proszę: młodzież to dziatwa, a dziatwa co robi? Dziatwa się garnie. Ocieram łzę, aby odpowiedzieć: nie przesadzajmy z tym garnieciem się. Nigdy nie byłem i nie jestem tym bardziej teraz, po wielu rozmowach z nauczycielami i uczniami klas licealnych, pewien czy aby młodzież tak lubi klasyków. Zresztą skoro Koprowski pyta czego młodzież chce we współczesności, i jeśli proponuje ustalić kogo tym terminem obejmujemy, niech i mnie wolno będzie zapytać: kogo się uważa za klasyków? Chyba nie tak według podręcznika — do romantyzmu. Nie tak też traktuje sprawę Koprowski. Co najmniej niesłuszne byłoby też wrzucenie do jednego worka wszystkich od Reja do Kasprowicza. Podzielmy tych „klasyków", powiedzmy kogo się lubi, kogo się w rzeczywistości czyta dla samego czytania, a nie dlatego, że pani profesorka zapyta. Dzieli Koprowski młodzież na dwie grupy — jedni to są ci którzy się zachwycają, których nie nudzi analizowanie i rozpatrywanie walorów — ci są grzeczni; drudzy to są ci, których to nudzi. To oni pewnie na „Nieboskiej" się śmieją, a „Akropolis" za bełkot uważają; i ci są niegrzeczni. I cieszy się Koprowski, że tych pierwszych jest więcej. No to niegrzecznych w kąt by można było postawić, ale tu stop! W rzeczywistości ci drudzy liczebnie przeważają. Bo niestety nauczyciele mówiąc wiele o ogólnej dewaluacji zainteresowań młodzieży dodają, że zainteresowanie literaturą jest już zupełnie mizerne. Jak się zdołałem zorientować nie więcej jak 10 proc. uczniów klas jedenastych przejawia rzeczywiste zainteresowanie literaturą. A i ci najczęściej wolą czytać i mówić o Hemingway'u, Faulknerze, Camusie. Gdzież ta większość garnąca się do klasyki? Dziwi mnie trochę traktowanie młodzieży jako republiki za wysokim murem, zupełnie samodzielnej. W rzeczywistości musi ona przecież ulegać wpływom starszej części społeczeństwa i na pewno im ulega. Chyba sobie zdajemy sprawę jakiego rodzaju jest ten wpływ. Jeśli młody człowiek wychowuje się w atmosferze szacunku dla słowa pisanego, dla książki, dla sztuki, jeśli widzi zainteresowania w tym kierunku rodziców, musi się w końcu nimi zarazić. Obawiam się jednak poważnie, że niewiele jest w naszym mieście domów tak wychowujących. Owszem, młodzież nie słucha ani muzyki konkretnej, ani symfonii współczesnych kompozytorów, ani współczesnych oper (gdzie te współczesne opery), ale ma przecież to swój powód inny niż wrodzona niechęć do nowoczesności. Niech się znajdzie ktoś wytrwały, kto zada sobie trud policzenia na palcach rąk i nóg tych dorosłych, którzy dorośli do lubienia wymienionych wyżej rzeczy. Opowiada Koprowski o tym jak pewna nauczycielka przyniosła do szkoły wiersze młodych poetów i czytała i wszyscy się bardzo śmieli. Argument to przeciw nowoczesności w szkole dość wątpliwy. Bo chyba nie znaczy, że niewiele warte są te wiersze młodych poetów. Założę się zresztą, że gdyby pani czytała uczniom „Genezy" Jastruna, to też wszyscy by się bardzo śmieli.

Co zrobić z tą młodzieżą? Z „Nieboskiej" się śmieją i z młodych poetów się śmieją...

Nie kłóćmy się o wartości. Tu chodzi o co innego: „Przecież ta nasza współczesność nie powstała nagle z niczego. Młody człowiek powinien wiedzieć skąd tej współczesności „nogi wyrosły". — o to, to. Jeśli kogoś męczono przez lat cztery analizowaniem ducha narodowego w nieśmiertelnym acz zakurzonym dziele i jeśli ktoś zakończył edukację poetycką na — „Chaty rzędem na piaszczystych wzgórzach" — Kasprowiczu, to nic dziwnego, że ten ktoś ociera łzy radości przy lekturze Różewicza. Czy jednak to, że młodzież nie rozumie sztuki nowoczesnej możemy uznać za dziedziczne obciążenie społeczne? Czy po prostu nauczyć rozumienia, aby następne pokolenia śmiały się raczej przy lekturze „Młodopolaków" niż Przybosia?

* * *

„Zaznajomienie młodzieży z dziejami literatury polskiej, poprzez charakterystykę epok i poznanie utworów najwybitniejszych pisarzy". Tak mówi program szkolny.

„Młodzież wychodzi ze szkoły tylko zapoznana z dziejami literatury".

„Absurdem jest uczenie historii literatury, jeśli się nie uczy obcowania z dziełem literackim".

„System uczenia literatury według programu wypacza jej obraz. Zupełnie fałszywy jest na przykład obraz literatury dwudziestolecia". Tak mówią nauczyciele.

„Szkoła nie prowadzi kursu znajomości sztuki".

„Chcemy poznawać nowoczesność".

„Chcemy mieć swobodę myślenia".

„Chcemy spotykać się z autorami". Tak mówi młodzież.

I jeszcze trzy fakty: program jest przeładowany, nauczyciel bajecznie wprost zapracowany, a młodzież przemęczona. Należałoby tu usiąść i płakać gdyby nie to, że obecny stan rzeczy można zmienić i trzeba zmienić. Narażę się może wielu felietonistom, jeśli powiem, że w sposób dość prosty.

Obecny system szkolnictwa powoduje przemęczenie młodzieży szkolnej. „Ciężkie przedmioty" wymagające z dnia na dzień solidnego przygotowania, wykluczają możliwość przeczytania czegoś więcej niż to co „pani zadała', co jest przecież nieodzownym czynnikiem w rozwoju zainteresowań. Program jest przeładowany. Zakładając już nawet, że nie da się zmienić metody nauczania na taką, która by pozwoliła na nauczenie właśnie obcowania z dziełem literackim, można i należałoby chyba dać nauczycielowi swobodę w wyborze utworów jakiegoś pisarza. Mamy znakomite siły pedagogiczne, można im przecież zawierzyć. W obecnym status quo nawet najlepszy nauczyciel nie wpoi programowego „umiłowania" jeśli musi się oprzeć na chale, jeśli uczy na podstawie tego co ani jego, ani młodzież nic nie obchodzi, co jest oddalone o tysiąc lat. Bardzo niepopularna jest na przykład literatura Młodej Polski — czy naprawdę nie da się jej uszczuplić w programie? A cały program klasy dziewiątej czy klasy dziesiątej, który nawiasem mówiąc, realizuje się jeszcze przynajmniej przez trzy tygodnie w klasie jedenastej? Są na pewno możliwości wygospodarowania wielu jednostek lekcyjnych na korzyść zagadnień współczesnych. Zacytujmy program (klasa jedenasta).

„Informacje (podkreślenie autora) o: Iwaszkiewiczu, Dąbrowskiej, Andrzejewskim, Parandowskim, Rudnickim, Brandysie, Borowskim, Putramencie, Żukrowskim".

Informacje! Bez komentarzy.

A lektura obowiązkowa: Nałkowska — „Medaliony", Rudnicki „Stare i nowe", Neverly „Pamiątka z celulozy", Kruczkowski — „Niemcy", Staff „Wiersze powojenne" (wybór), Tuwim — „Kwiaty polskie", Słonimski — „Wiersze powojenne i wojenne" (wybór), Gałczyński — „Wiersze" (wybór), Jastrun — „Wiersze" wojenne i powojenne" (wybór). Nie mówiąc nic o obawie czy będą omawiane najnowsze utwory wyżej wymienionych pisarzy, trzeba wyrazić zdziwienie, że już tu się kończy współczesność. Dodajmy jeszcze, że materiał powyższy jest przerabiany tuż przed maturą, że zaraz potem przychodzą powtórzenia całego materiału, syntezy, a będziemy mieli pełny obraz „nauki współczesnej" w szkole średniej. W programie na klasę dziewiątą, dziesiątą i jedenastą wydrębniono wprawdzie jeszcze jedno zagadnienie: współczesne życie literackie, które przewiduje i lekturę czasopism społeczno - literackich, utworów poetyckich i informacje o aktualnych wydarzeniach literackich. Jest to już jednak zupełny margines i prawie nigdy punktów tych nie realizuje się. Naturalnie nie z powodu niesolidności nauczyciela, a z powodu niemożności znalezienia czasu na te zagadnienia.

Piszący te słowa zdaje sobie w pełni sprawę z olbrzymich trudności stojących przed wprowadzeniem w życie programu unowocześnionego i odświeżonego. Są poważne zagadnienia zaopatrzenia szkół w teksty, wzbogacenia bibliotek szkolnych w dużą ilość dobrych książek, ba, nawet wykształcenia kadry nauczycieli, którym obecny system studiów polonistycznych nie daje pełnej wiedzy. Istnieje już jednak konieczność zmian. Można zrobić zresztą wiele jeszcze przed ich wprowadzeniem. Choćby zwiększyć liczbę spotkań z autorami, choćby utworzyć bibliotekę nowości, organizować dyskusje nad filmami, które są przecież gałęzią sztuki i to tą, należącą do najnowocześniejszych. Uatrakcyjnienie nie jest na pewno grzechem, a właśnie uatrakcyjnienia boimy się jak ognia.

* * *

Pisze Jażdżyński:

„Trzeba wybierać pomiędzy marzeniami romantyków o rządach ducha i marzeniami uczonego o poznaniu materialnego przecież kosmosu. Osobiście wolałbym to drugie".

Oczywiście, można i tak wybrać. Jażdżyńskiego to rzecz. Choć wydaje mi się, że nie chodzi tu o wybór, chodzi tylko o zlikwidowanie absurdalnej dysproporcji między tymi pierwszymi a tymi drugimi marzeniami. Chodzi o zlikwidowanie przerostu historyzmu, który to przerost w konsekwencji powoduje nierozumienie współczesności, co z kolei jest niemal kalectwem.

Podobno pewien młody, bardzo dobry poeta, zapytany, dlaczego poeci piszą tak, żeby nikt ich nie rozumiał, zamordował pytającego. Czemu ja się absolutnie nie dziwię.

Skandal w cieniu Watykanu

SŁO-DYCZ

W autobusach, w ubogich mieszkaniach czynszowych bloków na przedmieściach ludzie śmieją się na całe gardło. W ustronnych Watykanu, w kuluarach Izby Deputowanych, na tarasach Via Veneto, w pięknych apartamentach dzielnicy Parioli — w salonach arystokracji oraz wielkiej burżuazji — mówi się szeptem i z zażenowaniem.

Wszyscy mówią o tym samym: o najnowszych skandalach rzymskich i o filmie, który stawia kropki nad „i". „La dolce vita" — „Słodycz życia" — ostatni film Felliniego ze żjadliwą ironią obnaża niewiarygodną atmosferę rozwiązłości a nawet wyuzdania, która przeniknęła do górnych rejonów Wiecznego Miasta.

O zgrozo — papież Jan XXIII zaaprobował scenariusz bez zastrzeżeń, a jezuici ocenili gotowy już film jako „namiętny, przesadny, ale nienaganny". Wkrótce jednak zaoponowali dominikanie, wielu kardynałów, wreszcie cała watykańska hierarchia. Przerażony gwałtownością reakcji papież kazał sobie wyświetlić film prywatnie i wyszedł z projekcji przybity. W środowisku szlachty rzymskiej zapanował popłoch: przez snobizm, abnegację lub brak rozeznania wielu utytułowanych młodzieńców zgodziło się odegrać w filmie swoje własne osoby. Wiedzieli wprawdzie, że film będzie ostrą satyrą obyczajową, lecz drapieżne przejaskrawienie obrazu i późniejsze gorzkie refleksje przeszły wszelkie oczekiwania.

Sprawa otarła się wreszcie o parlament. Jednakże bez skutku. Sekretarz Stanu do spraw widowisk oświadczył z mównicy, że zezwolenia nie cofnie, skoro raz zostało wydane.

— Film Felliniego — oznajmił — tworzy mocny fresk o degradacji życia, ale jest to poważne dzieło sztuki i nie wolno dopuścić, by cenzura uśmiercała lub tłumiła własną sztukę filmową. Zwłaszcza wówczas, gdy ukazuje bez osłonek prawdę o życiu — słodkim jedynie w sensie ironicznym. Zresztą film nie szkaluje Włoch ani Rzymu, wskazuje tylko, że pewni ludzie z wysokich rodów lub o łatwych zarobkach powinni wziąć się do pożytecznej pracy. Naszym obowiązkiem nie jest utrącanie filmu, lecz przeciwdziałanie sytuacji, którą film oskarża.

Niepoprawni, żyjący bohaterowie filmu nie wyciągnęli jednak nauczki z prześwietnego lania.

— Można o nas mówić, co się chce — oburzyła się w ubiegłym tygodniu pewna rzymska księżniczka — że na przykład nie jesteśmy zbyt uduchowieni, ale wiemy przynajmniej, jak się na każdą okazję ubierać. Tymczasem u Felliniego szlachta ubiera się idiotycznie. Widzi się tam chłopaka w slipach przy boku starszej damy w galowym stroju i diademie. A naprawdę na przyjęciach tego rodzaju, jak tam na zamku, nikt nie nosi strojów wieczorowych.

Na przyjęciu — nakręconym w jednej z najwspanialszych historycznych rezydencji stolicy występowali wyłącznie autentyczni członkowie starych rodów arystokracji.

— Kiedy Fellini zaproponował mi udział w grze — opowiadał jeden z nich — nudziłem się piekielnie i zgodziłem się. Film składa się z mnóstwa scen i wzięte oddzielnie wydają się one niewinne. Wprawdzie zrozumiałem w końcu do czego reżyser zmierza, ale był zawsze tak pełen kurtuazji...

Od wieczornego pokazu w kinie „Fiamma" ci z reprezentantów Cafe Society, którzy nie wyjechali w góry, wychodzą z domu rzadziej. Felliniemu udało się obrzydzić plugawą atmosferę „rzymskich nocy". Jedna z obecnych na premierze dam oświadczyła publicznie:

Czuję, że mam usta pełne popiołu.

Nie przejęła się tylko Anita Ekberg, która w sposób naturalny i bezpośredni gra w filmie samą siebie — gwiazdę o bujnych kształtach i gorących zmysłach a pustej główce. Podczas, gdy jedna z zaproszonych dam odczuła nagle potrzebę zaimprowizowania strip-tease'u, Anita ograniczyła się na pamiętnym przyjęciu do odtańczenia boso namiętnego numeru i zaraz potem, o świcie, w wieczorowej sukni wzięła kąpiel w fontannie Trevi. Tak samo jak uczyniła to po jednym z występów w „Rugantino".

— Jaki był najpiękniejszy dzień pani życia? — zapytali dziennikarze.

— To nie był dzień, to była noc — odpowiedziała szczerze Anita.

Niejedna z rzymskich pań mogłaby odpowiedzieć to samo.

Zaniepokojony był nie tylko „wielki świat". Od chwili zakończenia filmu realizatorzy nie sypiali nie mal po nocach.

W dzień premiery — przewidział Marcello Mastroianni — polecą wszystkie szyby w okolicy sali projekcyjnej.

Mastroianni grał rolę bohatera filmu, młodego reportera-fotografa kroniki życia towarzyskiego, który — jako łącznik — uczestniczy we wszystkich epizodach filmu, to znaczy we wszystkich skandalikach jakie miały miejsce w ostatnich latach w Rzymie.

Są inni, którzy mogliby grać czołowe role. Taki na przykład książę Orsini. Czy to nie jego życie odtwarzają sceny pokazujące dziwną plątaninę stosunków między arystokracją, a światem gwiazd kabaretowych, sceny nie wyjaśnionych samobójstw w środowisku „czarnej szlachty", której członkowie noc po nocy kompromitują swoje wysokie stanowiska w służbie Kościoła?

Orsini, porzucony przez Belindę Lee, której niedawno usiłował towarzyszyć w samobójstwie — zresztą nieudanym — nie wrócił po wszystkim do domowych pieleszy, lecz nadal spędza noce w miłym gronie innych aktorek i starletek. Zabawia się w pierwszym rzędzie z Ireną Tunc, gwiazdką francuską, która przed paru tygodniami ledwie zdążyła przeszkodzić swemu mężowi, młodemu reżyserowi, w patroniuszowskim geście — zresztą za wzorem Orsiniego — przecięcia sobie żył w kąpieli. Zaraz potem wróciła do Rzymu, gdzie czekał na nią obiektyw filmowy oraz arystokratyczny amant.

A może przykładem dziwacznej unii między obu wytwornymi kręgami, modelem dla niecenzuralnej ilustracji atmosfery skandali w „Słodyczy życia" stały się przygody księżny Giovanny Pignatelli d'Aragona Cortes?

Czarująca potomkini jednego z najstarszych rodów patrycjuszowskich została oskarżona przez swego męża, byłego francuskiego aktora, Georgesa Brèhat o porzucenie domu rodzinnego i dwojga dzieci. Odnaleziona w Atenach księżna zawołała z oburzeniem:

— Oskarżenia mojego męża są monstrualne, haniebne i rozbrajające...

Dwudziestosześcioletnia Giovanna od kilku lat obnosi reputacje najelegantszej kobiety w Rzymie — rzecz bardzo trudna — i jednego z najostrzejszych języków wśród Café-Society, co jest jeszcze trudniejsze. Jej wszystko uchodzi płazem, wyśmiewa się raczej męża, którego dopuszczono kiedyś łaskawie do towarzystwa, gdy przybył do Rzymu zaangażowany do kilku filmów. Zakochał się wówczas z miejsca w owej błękitnookiej, niefarbowanej blondynce o wzroście 178 cm i cudownym ciele.

Dama o równie świetnym pochodzeniu, jak i potężnej fortunie postanowiła dopomóc Brèhatowi w karierze, ale kariera ta okazała się zwodnicza. Po nieudanym wypadzie do Paryża para wróciła do Rzymu i osiadła w pysznym pałacu w parku Pepoli. Zaczęły się nieustanne przyjęcia z publicznością zbyt liczną, by można ją nazwać doborową. Giovanna chciała się bawić za wszelką cenę. Czuła się zawiedziona, liczyła na cygańskie życie przy boku słynnego aktora tymczasem Brehat wybrał komfort pałacu Pignatelli. Na te operacje nie zgodził się, więc uciekła z domu i z kolei oskarżyła go o szukanie niesmacznego rozgłosu. W każdym razie nigdy nie wybaczy mu poszukiwania jej przez Interpol.

Kąpiel w fontannie Trevi

Anita Ekberg tańczy

ŻY-CIA

Rafa Vallone nikt nie oskarżył o porzucenie domu i nikt nie szukał przez międzynarodową policję. A jednak o wiele za często widywano go w towarzystwie osoby, która nie jest Eleną Varsi, jego ślubną małżonką. I to jakiej osoby! Co się bowiem kryje za „pełną uwielbienia przyjaźnią" Rafa z Marlena Dietrich? Od kilku miesięcy para ta nie rozłącza się. Czyżby naprawdę chodziło tu jedynie o współpracę w przygotowaniu ról do „Odpoczynku wojownika"? Zawsze, gdy Marlena przybywa do Paryża lub Rzymu Raf na nią czeka. Vallone myślał, że plotki ustaną na skutek obecności Eleny Varsi w domu, gdzie Marlena spędzała całe popołudnia, dopiero w późnych nocnych godzinach wychodziła razem z Rafem. Nic dziwnego, że plotki jeszcze się nasiliły.

Do uwieńczenia obrazu Rzymu anno 1960 brakuje czegoś w rodzaju afery Montesi. Jest jednak sprawa przypominająca grubą farsę i rzucająca na żer ludowi tym razem wysokie szczeble administracji.

Urodziwy funkcjonariusz służby ruchu Melone naraził się władzom, nakładając wysoki mandat za przekroczenie przepisów drogowych na prefekta Rzymu signora Marzano. W niedługim czasie młody policjant oskarżony został o stręczycielstwo. Przed kratkami sądu przewija się obecnie interesująca czereda kobietek przyjmowanych pochwalnymi gwizdami przez męską połowę publiczności. Wszystkie te „damy" solidarnie oświadczają, że ustąpiły przed groźbami policji; jedna tylko, La Zonta, oskarża Melona, próbując zresztą usprawiedliwić „biednego chłopaka". Rozprawa przebiega w atmosferze zaiste rozkosznej: wszystkie owe panie niezmiernie troszczą się, by nie popsuć sobie reputacji. Tak więc na procesie wszyscy doskonale się bawią. Wszyscy z wyjątkiem pani Melone, która odsłania jedna po drugiej swoje niezliczone biedy oraz samego pana prefekta, który — jak się zdaje — nie posiada zmysłu humoru. Również Melone śmieje się z przekąsem, widząc do jakich rozmiarów wzrasta jego sława Don Juana suteren. Na proces codziennie przychodzi Vittorio de Sica. Zamierza widocznie nakręcić coś w rodzaju „Słodyczy życia" niższych sfer.

Ale gdy zapytać przeciętnego rzymianina, czy nie wstydzi się przed całym krajem takiego nagromadzenia skandali, odpowiada purpurowy z wściekłości:

— Kogo mamy się wstydzić, kogo? Czy nie słyszał pan historii o call-girls w Mediolanie? Same małoletnie uczennice liceów i studentki. My, chwała Bogu, my pilnujemy swoich córek. Dopóki chodzą do szkoły.

Według „Soir Illustre"
opracował H. O.

STANISŁAW WORKIEWICZ, SP7 6V

Ludzie dobrej woli

Na czarodziejskim dywanie fal krótkich (IV)

Na „TX-sie" i „RX-sie" serwetki i kwiaty. Na ścianie portret Popowa rosyjskiego wynalazcy radia. Gdyby nawet na zdjęciu nie było kobiety domyślilibyśmy się, że właścicielem i operatorem stacji jest nie kto inny jak miła „YL-ka" Tamara, UB 5 SO z Simferopola na Krymie. Na stole tuż obok ręki nowoczesny elektronowy klucz do szybkiego nadawania. Nie byle jaki przeciwnik, prawda?

Ostatniego dnia 1955 r. zwróciła się o pomoc do krótkofalowców warszawskich Halina Dembicka. Tylko natychmiastowe zastosowanie niedostępnego w kraju preparatu witaminowego „F-99" mogło uratować zdrowie jej ciężko chorej siostry.

W sam dzień Nowego Roku Włodzimierz Ostrowski SP 5 BQ, wysłał do krótkofalowców Europy wołanie o pomoc. Prośba SP 5 BQ — za pośrednictwem YU 1 AK (Jugosławia) i DJ 2 QF (Niemcy) rozeszła się po Europie. Niełatwo było znaleźć rzadki preparat w dzień świąteczny. A jednak reakcja była natychmiastowa.

PREPARAT Z BAZYLEI DLA WARSZAWIANKI

Werner Kern HB 9 PT z Bazylei, po odebraniu apelu, porozumiał się natychmiast z HB 9 AE, właścicielem dużej apteki. Preparat zdobyto. Równocześnie HB 9 GU załatwiał formalności, związane z błyskawiczną przesyłką lotniczą, a w kilka godzin później jeszcze inny krótkofalowiec szwajcarski HB 9 PP wsiadł do pociągu ekspresowego i udał się do Zurichu, aby w tamtejszym porcie lotniczym osobiście nadać przesyłkę.

Od wysłania przez SP 5 BQ apelu o pomoc do wysłania przesyłki upłynęło zaledwie kilkanaście godzin, mimo że cała akcja odbywała się w dzień świąteczny, kiedy urzędy i biura nie funkcjonują. Ten noworoczny dzień poświęcili czterej szwajcarscy krótkofalowcy w odległej Bazylei ratowaniu życia nieznanej sobie Polki. Odpowiedzieli na apel nieznanego sobie osobiście krótkofalowca polskiego, otrzymany za pośrednictwem Jugosłowianina i Niemca, gdyż zagrożone było życie CZŁOWIEKA.

Jak przy tym przykładzie ofiarności i międzynarodowej solidarności wygląda fakt, że lekarstwo to dotarło do adresatki dopiero 13 stycznia mimo, że opakowanie posiada odcisk datownika warszawskiego urzędu pocztowego już z dnia 3 stycznia?

NA RATUNEK ZAGROŻONYM

W 1948 r. statek „Lieutenant-de-Vaiseau-Paris" został uratowany w pobliżu Wysp Azorskich przez francuskich krótkofalowców. W rok później piloci Rossi i le Brix dostawszy się w tajfun nad Burmą wysłali wezwanie o ratunek i otrzymali wskazówki co do zagubionej drogi za pośrednictwem radioamatorów. Jedną z najbardziej niezwykłych historii było uratowanie pewnego myśliwego z Afryki Południowej, który zraniony przez lamparta został ocalony przez samolot sanitarny, skierowany tam dzięki interwencji krótkofalowców. Dzięki radioamatorom mógł świat śledzić przebieg słynnej akcji ratowania tratwy rozbitej przez sztorm na Pacyfiku. Gdyby nie wezwanie nadane przez mały nadajnik krótkofalowy Eryk Bischop i jego towarzysze zatonęliby niechybnie w okolicy wysp Juan Fernandez.

Ci, którzy w dziedzinie fal krótkich umożliwili radiokomunikacji dokonanie tak wspaniałych postępów technicznych, odgrywają również rolę w niesieniu pomocy moralnej przez bezpośrednie kontaktowanie się z badaczami odciętymi od świata, samotnymi żeglarzami i członkami misji naukowych, przebywającymi w odległych zakątkach kuli ziemskiej.

PAMIĘTAMY TEN FILM

Pamiętamy piękny film francuski o dużych wartościach moralnych pt. „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli". Film ten z całym uznaniem podkreśla rolę, jaką może spełnić owa dobra wola tym razem ludzi związanych wspólną pasją radiomanii.

Grupa rybaków rzucona na dalekie łowiska Morza Północnego ulega niespodziewanie chorobie. Na pokładzie nie ma lekarza. Urządzenia do nawiązania łączności radiowej z bazą zawodzą. Nikt nie odpowiada na zawołania „SOS". Jednakże los jest łaskawy. Dzięki kaprysowi fal krótkich wysłane sygnały słyszy amator w głębi Czarnego Lądu — Afryki. Miejscowy lekarz afrykański na podstawie rozmowy radiowej stawia diagnozę: załoga uległa zatruciu jadem kiełbasianym. Potrzebna jest surowica. Ale jak ją dostarczyć i skąd ją wziąć? Wiadomość przekazana kolejno do Paryża i Berlina mobilizując krótkofalowców — ludzi dobrej woli, pozwala zdobyć surowicę. Samolot francuski wiezie ją do Berlina, radziecki do Norwegii a stąd wodnopłatowiec norweski dostarcza ją w ostatniej chwili na pokład statku. Oto wspaniały przykład „ad hoc" zorganizowanej pomocy przez krótkofalowców różnych ras i różnych poglądów politycznych.

KIM SĄ RADIOMANIACY?

Kim są ludzie, którzy tak ważnie przyczyniają się do szerzenia idei przyjaznych stosunków między ludźmi i szerzenia postępu technicznego w dziedzinie radia. Pomyślisz może Czytelniku, że to kasta ludzi specjalnie zaawansowanych technicznie i uprzywilejowanych z racji wykształcenia i pracy zawodowej! — Nie! Nic podobnego.

Wśród pochylonych nad kluczem telegrafu czy grzebiących lutownicą w czeluściach nadajnika spotkamy zarówno inżynierów radiowców jak księgowych, uczniów, księży czy robotników. Jedni wyżywają się w konstruowaniu urządzeń stacyjnych, inni w samej pracy na radiostacji. Jednym przychodzi łatwiej rozgryzanie schematów radiowych, innym odbiór znaków Morse'a. I rzeczywiście znam ludzi odbierających telegraf przy tak dużej prędkości nadawania, przy której bezwładność słuchu innych zlewa pojedyncze kropki i kreski w jeden ciągły ton. Ale nie trzeba być znowu takim asem, by zostać przyjętym w grono amatorów. Jest zwyczaj, że w jakim tempie zawołasz, w takim Ci się odpowiada. A krótkofalowcy z całym pietyzmem przestrzegają utartych przepisów uprzejmości. Krótkofalarstwo bowiem to gra, w której nie może być ludzi nie przestrzegających zasad „fair play". W języku krótkofalarskim istnieje nawet pewne określenie ducha uczciwości pod nazwą „ham spirit". Każda łączność radiowa to wystąpienie na międzynarodowej arenie, na której nie można w żadnym wypadku przynieść wstydu ojczystej organizacji.

Krótkofalarstwo stwarza szczególnie dla młodzieży piękne pole do popisu i wyżycia się. Młody nadawca poznaje geografię, ćwiczy słuch, poznaje języki przechodząc jednocześnie praktyczną lekcję fizyki. Dziś w dobie szeroko propagowanej automatyki, praktyczne zetknięcie się z podstawami prądów słabych, elektroniki i zasadami pracy przekaźników to „warunek nieodzowny" ogólnej politechnizacji społeczeństwa, a w konsekwencji postępu technicznego.

„NIE NUDZIĆ UCZĄC"

Oto hasło, które powinno przyświecać zarówno pedagogom jak i ludziom dokształcającym się w zaciszu własnego mieszkania.

Narody, które to zrozumiały wydźwignęły się na przodujące miejsca w rozwoju techniki. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej posiadają 2/3 ogólnej liczby krótkofalowców całego naszego globu. Ponad 100 firm radiowych nastawionych jest na produkcję wyłącznie dla potrzeb ruchu amatorskiego. Nic dziwnego, że z tej liczby nadawców w dniach mobilizacji w latach ostatniej wojny światowej z łatwością wybrano telegrafistów do oddziałów łączności. Nie można milczeniem pominąć faktu, że amatorowi dłubiącemu dzień w dzień od szeregu lat w przez siebie skonstruowanej aparaturze, w żadnym wypadku nie dorówna absolwent kursu choćby nawet dwuletniego odbytego w czasie służby wojskowej przed iluś tam laty i to pod swego rodzaju presją, przymusem. Amator-nadawca będący ze swoim nadajnikiem na „ty" zna jego choroby i jakimś nadzwyczajnym zmysłem „rozumie" eter. To zrozumienie przychodzi z latami samo i bez niczyjej pomocy.

Rosną u nas szeregi adeptów sportu krótkofalarskiego. Rosną kluby radiowe, a sprzęt wybrakowany z fabryk i z demobilu nie jest niszczony, lecz przekazywany Radioklubom Ligi Przyjaciół Żołnierza, pozwala podnosić poziom techniczny społeczeństwa i szkolić młodych ludzi w okresie przedpoborowym.

Młodzież wyżywając się w radiotechnice omija „Lilianę" i ul. Piotrkowską rozwijając twórczą inwencję w tej praktycznej lekcji fizyki. Organizacje krótkofalarskie-radioklub, to prawdziwa szkoła życia społecznego i samorządu, szkoła kształcenia nie tylko technicznego ale i etyki najbardziej socjalistycznej.

Dziś, w głębi Afryki, w sercu Grenlandii, na najmniejszej wysepce zagubionej na oceanie, na statku kołysanym przez fale morskie i u nas w mieście miliona wrzecion włókienniczych, wszędzie znajduje się jakiś amator, którego antena jest cząstką wielkiej międzynarodowej solidarności ludzkiej.

Fińczyk OH 3 TT upolował wreszcie „DX-a" czyli stację z innego kontynentu.

A oto jak Włoch I 1 BPX poluje na „DX-y" po omacku błądząc po antenie.

Jednakże przede wszystkim ich interwencje przy ratowaniu zagrożonego życia ludzkiego spowodowały, że powszechnie uznano społeczną rolę, jaką odgrywają krótkofalowcy amatorzy. Oni to tworzą rodzaj „Czerwonego Krzyża", łączącego wszystkie kraje.

Ludzie i technika szpiegostwa

Twórcy zwycięstw

Pierwszym prawdziwie nowoczesnym wywiadem dysponowała rewolucja francuska. W czasie wojny działała instytucja nosząca nazwę „Bureau de la Partie Secrete", pracująca w konspiracji, zbierająca wiadomości od rozsianych szpiegów w kraju i za granicą. Między innymi właśnie praca owej tajnej instytucji, jak twierdzą niektórzy, przyczyniała się do zwycięstw tricolore. Faktem zaś niezbitym jest, że wojska rewolucyjne nie tylko dobrze dawały sobie radę w polu z wojskami zagranicznych monarchii. Potrafiły je uprzedzać, uderzać w słabe miejsca, a chyba z powietrza lub natchnienia wiadomości o tym nie czerpały.

OPINIA MAŁEGO KAPRALA

Na wstępie dewiza gen. Bonaparte, który wówczas jeszcze nie był cesarzem: „Jeśli generał, prowadzący działania wojenne nie w pustyni, lecz w zaludnionym kraju, nie posiada potrzebnych informacji, nie zna swego zawodu". Inaczej mówiąc, przyszły cesarz Francuzów stwierdził, że wywiad wojskowy jest konieczny dla prowadzenia operacji. Świadectwa historyczne dowodzą, że Napoleon I nie rzucił zacytowanych wyżej słów na wiatr. Podobno Francja w czasie jego rządów dysponowała najlepszym — na przestrzeni całej swojej historii — wywiadem. Kosztował on wiele, lecz był — jeśli tak można powiedzieć — opłacalny. Inne bowiem powiedzenie Napoleona I brzmiało: „Wojna musi się sama żywić" — i dopiero w ostatnich latach swych kilkunastoletnich rządów tej dewizie się sprzeniewierzył.

Bonaparte zajmował się wszystkimi rodzajami wywiadu: politycznym, wojskowym, gospodarczym, no i policyjnym. Autorowi nieznane są sposoby (historii zdaje się także), jakimi młody generał prowadząc boje w Egipcie, dowiadywał się, co się święci w Paryżu. W każdym razie wrócił w najbardziej właściwym momencie, gdy władza Dyrektoriatu jęła się chwiać — i pewne frakcje termidoriańskiej rewolucji zapragnęły silnej władzy. Kilka miesięcy po słynnym napadzie grenadierów na obradujący parlament i zagarnięciu przez ambitnego generała władzy, przystąpił on m. in. do reorganizacji „Bureau de la Partie Secrete". Był to rok 1796 i nowy szef francuskiego wywiadu Landrieux miał 43 lata. Był kapitanem kawalerii, wówczas najnowocześniejszej obok artylerii broni, która rozstrzygała bitwy.

Zasady pracy wprowadzone przez szefa napoleońskiej „dwójki" były odmienne od dotychczasowych. Przede wszystkim uważał on, że do roboty wywiadowczej należy wciągnąć ludzi obeznanych z wojskowym rzemiosłem. Informacje pochodzące od oficerów przekształconych w szpiegów, są wartościowsze. Rychło jednak Jean Landrieux przekonał się, że wywiad „czysto wojskowy" nie ma racji bytu. Do celów prowadzenia wywiadu politycznego i gospodarczego (z racji nie kończącego się konfliktu z Wielką Brytanią) potrzebni byli cywile. Nierzadko wciągał do służby hrabiny, księżniczki, arystokratów, a także duchownych różnych stopni.

KTO WYGRAŁ POD AUSTERLITZ?

Na ogół nieznany w historii powszechnej kapitan kawalerii stał się praktycznie współtwórcą zwycięstw swego cesarza. Zaciągnął siatkę szpiegowską po całej Europie. Jego agenci tkwili

JULIUSZ JANCZUR

BANDA Z „EGZOTYCZNEJ"

Dyskusja o młodzieży

Kawiarenka, jak wiele innych. Schodzi się tu wiele młodzieży na kawę, na ciastka, na pogawędkę. Społeczeństwo kawiarniane jest wszędzie jednakowe — przyciszone rozmowy nad filiżanką kawy, zgarbione plecy przy niskich stoliczkach, dotknięcie kolan kolanami i dym papierosa, gryzący w oczy. Siedzą po dwoje, po czworo, po dziesięcioro. Mają swoje tajemnice, swoje kłopoty, wspólnych znajomych. Czasem wypiją flaszkę wina, powiedzą swoim dziewczynom kilka gorących słów i idą do domów, uczyć się, wypoczywać.

Takie spokojne obrazki z życia młodzieży można opowiadać naszym niemowlakom. Bo w rzeczywistości jest trochę inaczej. Przykłady? Proszę bardzo.

„Egzotyczna" jak inne kawiarnie, posiada własną klientelę. Ciągle te same twarze, wszyscy znają się po imieniu lub z przezwiska. Czują się jak u siebie w domu. Przynosili ze sobą „barszczu", pili po kryjomu, hałasowali, brudzili, urządzali awantury. Niemal co dziennie interweniowała milicja. Personel spędzał połowę dnia pracy w Sądach i Kolegiach Orzekających, występując w charakterze świadków awantur i bójek.

Próbowano wielu środków. Wszystkie zawodziły. Dlaczego? Dano tej młodzieży możliwości kulturalnego spędzenia czasu, dano im miejsce na ziemi. Żądano od nich niewiele — trochę kultury i ogłady.

Nic z tego nie wyszło. Gdy zaglądali mundurowi milicjanci zachowywali się jak aniołki. Może dlatego, że zawsze kilku młodych ludzi dyskretnie opuszczało lokal przez taras. Widocznie mieli coś na sumieniu. Ale patrol ruszał w dalszą drogę a opuszczone miejsca ponownie zapełniały się.

Wreszcie starzy bywalcy postanowili zorganizować się. W ten sposób powstała „Banda Romana B." licząca 22 osoby. Głupawa to banda, chociaż struktura organizacyjna dosyć ciekawa dla teoretyków ruchów młodzieżowych. Wyraźnie widać wpływy westernów i najgorszej literatury kryminalnej. A więc był szef i jego zastępca, skarbnik, detektyw, wywiadowca, śledczy, starszy rozpruwacz, sekretarka. W skład bandy wchodziło osiem dziewcząt w wieku od 15 do 19 lat.

Banda nie zdążyła niczego dokonać, gdyż została w sposób nieco gwałtowny rozproszona. W szeregu rozmów z członkami dano im wyraźnie do zrozumienia, że na taką zabawę organa porządkowe nie zezwolą. „Szef" poszedł na dwa miesiące do paki, jeszcze za dawne awantury, dwóch czy trzech pomaszerowało do wojska, reszta zmieniła lokal i rozproszyła się po całej Łodzi. Dziś w „Egzotycznej" panuje spokój, tylko zakład nie wykonuje miesięcznych planów obrotu.

Bandy już nie ma, ale problem pozostał.

Co to byli za ludzie? Na osiem dziewcząt — pięć nieletnich. Chłopcy w wieku od 20 do 25 lat. Chłopcy? Stare łobuzy znane w chuligańskich środowiskach. „Szef" był już trzykrotnie karany za kradzieże. Liczy sobie 24 lata. Sądy będą jeszcze miały z nim do czynienia. „Robert" — 25 lat, student jednej z łódzkich uczelni, trzykrotnie karany: za napad z bronią w ręku, rozbój i kradzież w „Malinowej".

Skład socjalny bandy — dosyć jednostronny. Wszyscy pochodzenia inteligenckiego „Bandyta"—syn urzędnika, „Wiktor" — syn lekarza, „Telimena" — córka inżyniera, Janina B. — uczennica XI klasy, córka pracownika umysłowego, Jadwiga P. — ojciec ma prywatne przedsiębiorstwo usługowe.

Złota młodzież, przesiadująca całymi dniami przy małym, kawiarnianym stoliku. Nie pracowali, nie uczyli się, a skąd mieli pieniądze? Tłumaczą, że od rodziców.

Krótka działalność bandy była bardzo naiwna — spisy członków, podpisywanie listy obecności w „Egzotycznej". Byli zbyt inteligentni, aby ten stan mógł długo trwać. Zgromadziły się już wszystkie przesłanki do konkretnej i przestępczej działalności. Na szczęście nie dopuszczono do tego.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy powiedzieć, że ci młodzi ludzie — to potencjalny narybek świata przestępczego.

Krystyna H. lat 16. W „Teresinie" poznała pewnego starszego pana (nazwiska ze zrozumiałych względów nie podaję). Ten dał Krystynie numer swojego telefonu i prosił, aby do niego zadzwoniła. Po kilkunastu dniach poszła do niego, zjedli razem kolację. Po tygodniu znów kolacja. Podczas następnego z kolei pobytu ten poważny, szarmancki starszy pan spoił dziewczynę winem i... stało się. Za spędzony wieczór dał Krystynie 400 zł i poprosił aby przyszła za tydzień. Krystyna oczywiście przyszła. Znów kolacja, trochę pieszczot, a później propozycja, aby Krystyna przyprowadziła do niego którąś ze swych koleżanek. Przyprowadziła Barbarę P. Później przychodziły inne. Nie odmawiały przyjmowania pieniędzy.

„Telimena" też tam bywała, ale „Telimena" miała przyjaciela, który ją utrzymywał. Sam wprawdzie nigdzie nie pracował, rzekomo finansował go ojciec — krawiec.

Wyciągam te wszystkie brudy na światło dzienne, aby Cię przekonać, drogi Czytelniku, że wrzód już dostatecznie nabrzmiał i najwyższy czas aby go przeciąć.

Problem przestępczości wśród nieletnich i młodzieży jest problemem ogólnoświatowym.

Na przykład w New Yorku nie ma dnia, aby dzienniki nie doniosły o nowej zbrodni dokonanej przez „Ten Age Murder" (wyrostków). Według obliczeń policji działa tam ponad 150 band liczących około 7.500 członków, uzbrojonych w broń palną. Sędzia Sądu Najwyższego Stanu New York Mr. Cone pisze: „Zmieniło się oblicze zbrodni. Zorganizowane barbarzyństwo, będące do roku 1945 domeną dorosłych gangsterów spod znaku Al Capone, Costello, Luciano i innych, stało się po wojnie domeną działania młodzieży. Wstrząsający problem kryminologiczny wielkich miast — to wyrostki które zabijają dla radości zabijania. Gangsterzy dopuszczali się zbrodni, mając ku temu konkretną przestępczą przyczynę. Młodociani zabijają bez jakiejkolwiek przyczyny..."

Inny amerykański wybitny prawnik powiada:

— .....dzieci trudne zniknęły w 1945 roku. Teraz mamy tylko dobre dzieci oraz potencjalnych morderców..."

Dyrektor jednej ze szkół Mr. Goldfarb:

— „...żądam nadzoru policyjnego nad moją szkołą..."

Dyrektor policji kryminalnej New York Mr. Hoyer:

— „...porządek może zrobić tylko pałka gumowa..."

Burmistrz Nowego Jorku Wagner:

— „...wtrącić ich do obozu pracy na kilka lat, niech się nauczą tam rozumu..."

Socjologowie amerykańscy dopatrują się przyczyn tego zjawiska w ogólnym powojennym chaosie, w obawie przed nową wojną, a zwłaszcza w fakcie, że amerykańskie tempo i styl życia wyeliminowały dom, rodzinę, a nawet szkołę z dziedziny wychowania, które stały się obecnie pustym frazesem.

Ten stan rzeczy na razie nam nie grozi, ale i u nas jest wiele problemów, nad którymi warto by się poważnie zastanowić.

Część młodzieży łazikuje. Nie uczy się, nie pracuje, przesiaduje w kawiarniach i prowadzi ogłupiające rozmowy o niczym. Skąd ma pieniądze? No bo przecież nie z uczciwej pracy. Ciągle te same twarze w tych samych lokalach. Chęć wyżycia się, rozładowania energii i młodzieńczego entuzjazmu sprowadza się do prozaicznego „chlania" wina, pętania się po deptaku i łażenia z łóżka do łóżka. Ideały? Mowa!

Oczywiście nie mam na myśli młodzieży in gremio, no bo ona w swej przeważającej masie jest pełna zapału i chęci do pracy. Ale z doświadczenia wiemy, że złe przykłady bardziej oddziaływają na wyobraźnię niż wszystkie dobre i pozytywne wzory. Dlatego trzeba walczyć o tę dobrą młodzież.

Wydaje mi się, że my za bardzo chcemy zrozumieć młodzież, poznać pobudki jej działania. A to jest szukanie pęczka rzodkiewek w bezkresnej pustyni. Wmawiamy im bezideowość, miotanie się w poszukiwaniu nowych dróg, zbyt wiele czasu poświęcamy na dyskusje o możliwościach rozwoju, jakie ma młodzież, a może po prostu trzeba by kawałek kija?

Może młodzi mają w życiu zbyt dobrze, zbyt lekko im wszystko przychodzi, więc szukają dodatkowych a silnych wrażeń. Uczyć im się nie chce, więc rzucają szkołę, pracować nie muszą, bo rodzice ubiorą, dadzą jeść i jeszcze parę groszy na różne przyjemności.

Złota młodzież okupuje kawiarniane stoliki od rana do nocy, awanturuje się, chuligani. Czy w każdej kawiarni ma bez przerwy stać uzbrojony w pałę milicjant?

A na jakiej podstawie sądzimy, że nieletnia prostytutka i nieletni włamywacz po ukończeniu któregoś tam roku życia wezmą się uczciwie do pracy i zostaną dobrymi obywatelami?

Cały ciężar wychowania młodzieży zepchnięty został na barki Państwa. Ale Państwo to skomplikowany i szeroki aparat instytucji i organizacji społecznych. W rezultacie, walka z przestępczością wśród młodzieży, problemy wychowawcze i profilaktyka w pewnych zakresach muszą być podejmowane przez milicję, która nota bene nie jest do tego przygotowana. System profilaktyczny i represyjny powinien być uzupełnieniem a nie zastąpieniem całego procesu wychowawczego.

15-letni chłopak podrobił legitymację szkolną, aby chodzić do kina na filmy od lat osiemnastu. Milicja wzywa matkę, chce jej powiedzieć, że syn popadł w kolizję z prawem. Matka powiada: — Tylko to? Myślałam, że to coś poważniejszego.

A inna matka prosi milicję: — Zamknijcie mojego syna w więzieniu, inaczej zostanie bandytą! Ja nie mogę sobie z nim dać rady!

Trzeba więc wezwać chłopaka, postraszyć więzieniem. Pomoże albo i nie. Raczej to drugie. I wtedy trzeba czekać, aż dokona przestępstwa żeby go wychowywać, już w więzieniu.

Drogi Czytelniku! Przechodząc Piotrkowską wstąp do „Egzotycznej". Łatwiej się ze mną zgodzisz, że trzeba jednak samemu wychowywać dzieci, że nie można czekać aż się do tego weźmie milicja czy inni dobrzy ludzie.

Powiada przysłowie:

Czym skorupka za młodu nasiąknie... i drugie:

— Jak sobie pościelisz...

na dworach królewskich, w armiach nieprzyjacielskich i własnych, w państwach neutralnych, w hierarchii kościelnej. Łatwość, z jaką zakładał swoje liczne siatki, polegała także na sumach, którymi Landrieux dysponował. Czołowi agenci pobierali uposażenia sięgające 100, a nawet więcej tysięcy franków w złocie, co w przeliczeniu na ówczesną siłę nabywczą tworzyło prawdziwą fortunę, równowartość sporego majątku ziemskiego. Wystarczy powiedzieć, że z procentów od tej sumy można było dostatnio żyć. Poza tym trzeba dodać, że twórca nowoczesnego wywiadu francuskiego pierwszy wprowadził szyfr jako zasadę przekazywania informacji. Wiedza o sposobach przekazywania informacji była wówczas w powijakach. Gdy dodać do tego, że cesarz był inicjatorem przeprowadzenia połączeń telegrafu optycznego, zdolnego do przekazywania wiadomości, np. z Moskwy do Paryża w ciągu kilku godzin, zrozumiemy, jaką potęgą dysponował Napoleon, i w jaki sposób mógł przeprowadzać swoje błyskawiczne kampanie.

Świetnym przykładem może tu być Karl Schulmeister, największy szpieg ery napoleońskiej. Wówczas całość wywiadu i policji była już w rękach słynnego Fouche. Wśród przedstawionych Napoleonowi przed rozpoczęciem kampanii raportów szpiegowskich, znalazł się raport Schulmeistra, który był wyjątkowo jasny, przejrzysty, precyzyjny. Wówczas w 1805 roku wezwany przez Napoleona ów 35-letni kupiec tytoniowy ze Strassburga organizuje wielki „manewr wywiadowczy". Po drugiej stronie Renu znajdują się znaczne siły austriackie pod wodzą gen. Macka, który zajął Ulm.

A oto przykład posługiwania się przez Napoleona wywiadem. Przygotowując kampanię przeciw Austrii w 1805 roku Bonaparte zażądał od Fouche'a wszystkich materiałów szpiegowskich, dotyczących tego tematu. Wśród różnych sprawozdań, informacji itd. zwrócił wówczas uwagę Napoleon na wyjątkowo precyzyjny, jasny, przejrzysty raport Charlesa czy Karla Schulmeistra. W życiu cywilnym ten niepozorny syn pastora, z zawodu kupiec tytoniowy w Strassburgu, zajmował się poza kupiectwem — także przemytem. Dla uspokojenia policji, był jej konfidentem. Ponieważ zaś policja i wywiad podlegał w erze napoleońskiej tej samej osobie, konfidenta przerobiono na szpiega. Napoleon zaś uczynił z niego najwybitniejszego szpiega wieku XIX. Schulmeister był właściwym zwycięzcą pod Ulm i Austerlitz.

Wkręcił się on mianowicie między zaufanych kapitana Wenda, szefa wywiadu armii Macka, znajdując j się w okolicach Ulm. Wend ufał całkowicie Schulmeistrowi, wierząc, że jest on tylko jego agentem. Korzystając z tego Napoleon poinformował swego przeciwnika, że wojsko francuskie przedostanie się przełęczą w Schwarzwaldzie, a poza tym należy liczyć się z wybuchem antynapoleońskiej rewolty we Francji. Austriacki generał uwierzył w te wieści. Tymczasem Napoleon ze swym wojskiem zdruzgotał mniejsze garnizony, a wreszcie niespodziewanym manewrem otoczył i zmusił Macka 20 października do kapitulacji. Nie pomogły cesarzowi Austrii posiłki cara, które nadeszły sześć tygodni później. Austerlitz, jedna z niesłychanie krwawych bitew tego okresu, zakończyła się pełnym zwycięstwem Napoleona. Zresztą i do posunięć w tej bitwie czerpał „mały kapral" natchnienie z informacji swoich wywiadowców. Wysłany niemal równocześnie z Schulmeistrem — pewien kapitan, nazwiskiem Bernard, zameldował się po wykonaniu zadania na terenie Austrii już w momencie, gdy działania wojenne były w pełnym toku. Nie wrócił z pustymi rękoma; jak twierdzą kronikarze — cesarz był bardzo kontent ze swego wywiadowcy, lecz gwałtownie ochłódł, gdy ten pozwolił sobie przedstawić strategiczny plan ich wykorzystania. Napoleon nie znosił takich pouczeń i wyprawił swego kapitana pośpiesznie do boju.

„MODNISIE“ z Piotrkowskiej

Dokończenie ze str. 1

rzucając im nie byle co, bo pierwszy „grzech główny“ — formalizm i bezideowość. Młodym pisarzom jest rzekomo wszystko jedno o czym piszą. Ważne jest — pono dla nich tylko jedno — jak pisać.

Historia literatury uczy nas, że pisarz, który w młodym wieku nie próbował formalnego eksperymentu, na starość pozostawał kaleką. Prawo do eksperymentu formalnego jest jednym z atrybutów naszej nowej polityki kulturalnej. Marian Piechal niepotrzebnie stara się podrzucić nam „kukułczе jajo“; gdybyśmy próbowali je wysiedzieć, ulągłby się nowy potworek schematyzmu. Przecież i jego młodość upłynęła pod znakiem poszukiwania formy...

Marian Piechal mówi nieprawdę. Poza nielicznymi wyjątkami, twórczość młodych pisarzy łódzkich, szczególnie w dziedzinie prozy i reportażu, cechuje mniej spotykane u starszych zaangażowanie we współczesność. Zaangażowanie — nie pozorne, deklaratywne, ale głębokie, przeżyte. Opowiadania Jerzego Waleńczyka czy Bernarda Sztajnerta ukazują współczesne konflikty, wyraźnie w prozie ich rysuje się problem naszych czasów. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć że np. literatura wspomnieniowa, czy historyczna to coś gorszego. Nie twierdzę też że widzenie współczesności przez młodych jest bezdyskusyjne. Ale to kapitał, który może procentować w przyszłości.

Jak dotychczas polityka kulturalna w stosunku do młodych pisarzy w Łodzi — zbyt często ogranicza się do karcenia.

Mam przed sobą artykuł A. Grabowskiej z „Głosu Robotniczego“, zatytułowany dość dziwnie: „Paradoksy kultury albo czy młodym źle się dzieje“.

Artykuł Grabowskiej — ośmielam się twierdzić — nie wnosi nic nowego do trudnego problemu młodych pisarzy w Łodzi. Jest to artykuł hołdujący tylko modzie. Jątrzy.

Grabowska zarzuca młodym pisarzom, że właściwie nie wiedzą czego chcą od życia, bo przecież tomiki poetyckie wydaje im Wydawnictwo Łódzkie, mogli w Łodzi zorganizować Festiwal Młodej Poezji, ale projekt ten upadł wobec kompletnego braku zainteresowania ze strony młodych pisarzy. Do spraw wydawniczych — powrócę. Dla informacji podam, że nie kto inny jak właśnie A. Grabowska odpowiada za to, że projekt Festiwalu upadł, prace wstępne nad zorganizowaniem Festiwalu zaczęła bowiem od obrażenia młodych poetów w duchu tego właśnie artykułu.

Pisze Grabowska o projekcie „Teatru Młodych“, który również pono upadł nie z powodu intryg dyrektorów, ale z winy młodych. Na czym polegała ta wina? Mówi o tym sama Grabowska: na tym, że do młodych starsi nie mają zaufania. Jak pisze: ... nie było żadnych gwarancji, by młodym można powierzyć sale, fundusze i — dać samodzielność repertuarową“.

Te dwa przykłady wystarczą, aby obnażyć fałszywość argumentacji Grabowskiej. Czy więc uzasadniony jest tytuł jej artykułu: „Czy młodym źle się dzieje“.

Tak, młodym źle się dzieje. To właśnie wynika z artykułu Grabowskiej. Źle się dzieje, ponieważ starsi nie mają do młodych zaufania i chcą od nich gwarancji, której ci dać im nie są w stanie. Źle się dzieje również i dlatego, że publikuje się podobne fałszywe artykuły.

Dla pisarzy — młodych i starych — najważniejszą sprawą jest ich własna twórczość. A na brak tej twórczości Łódź nie może narzekać. Rzecz w tym, że twórczość ta przyjmowana jest obojętnie, lub jest w niektórych pismach złośliwie przemilczana. „Głos Robotniczy“ znajduje miejsce na swych łamach, aby atakować młodych pisarzy, brakuje mu jednak miejsca, aby wykonać najważniejsze — zrecenzować

twórczość młodych pisarzy, owych debiutantów, o których wspomniała Grabowska.

Dlatego młodzi pisarze mają w tym wypadku prawo mówić, że im się dzieje nie najlepiej.

PARADOKS I WNIOSKI

Nie jest prawdą, że młodzi pisarze w Łodzi nie mają z czego żyć i stąd biorą się ich ataki na nasze miasto. Młodzi pisarze, a w każdym razie większość z nich — żyje niekiedy lepiej niż starsi pisarze. Decyduje o tym chyba większe zaangażowanie w problematykę dnia dzisiejszego. Gdy przeglądam rocznik „Odgłosów“ wprost rzuca się w oczy, że prawie 90 proc. publikacji w tym tygodniku pochodzi spod pióra młodych. I to nie dlatego, że pismo to ma taki akurat „kurs“, ale dlatego, że młodzi widzą problemy swego miasta ostrzej i wyraźniej.

Dla ludzi, którzy obserwują migracje kulturalne naszego miasta — nie ulega już wątpliwości, że pokolenie wspinające się na Parnas, jest bardzo zdolne. Jeśli tylko dostrzegą to zjawisko jeszcze wyraźniej redaktorzy Wydawnictwa Łódzkiego — lepiej będzie dla atmosfery kulturalnej Łodzi i dla kultury tego miasta. To samo myślę o Wydziale Kultury PRN, który ciągle działa na zasadzie inercji, dzieląc niesprawiedliwie wieczory autorskie, nie rozumiejąc, że z roku na rok coś przecież zmienia się w naszym mieście, że rosną nowi ciekawi ludzie. Łódzkiej młodzieży zawdzięczamy dosyć dużo, że przypomnę interesujący krąg

„Pstrąga“, czy szereg klubów młodzieżowych.

Grabowska użyła w tytule swego niefortunnego artykułu słów „Paradoks kultury“. Na czym naprawdę polega ten paradoks?

Młodzi, atakujący swoje miasto, dowiedli, że sprawy tego miasta nie są im obojętne. Przeciwnie — gorąco, namiętnie je przeżywają. Jeśli błądzą — należy im to wyjaśnić w tonie łagodnym i spokojnym. Ale żarliwość,

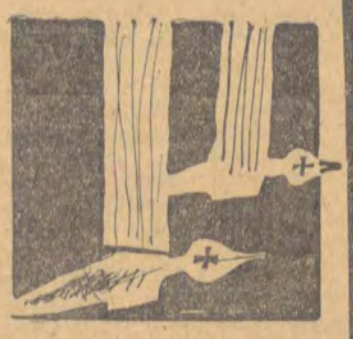

która ich cechuje — jest cenna. Ją należy rozdmuchać.

Młodzi pisarze czują się odpowiedzialni za losy kultury w tym mieście. To także przecież wynika z ich napastliwych artykułów na Łódź. Ich główne pretensje ograniczają się w gruncie rzeczy zaledwie do kilku problemów. Młodzi chcą być w swym mieście zauważeni, recenzowani. Chcą mieć tak, jak i starsi, wieczory autorskie, spotkania z czytelnikami. Młodzi chcą mieć coś do powiedzenia w mieście i mają do tego pełne prawo. Nikt w tym mieście o nic ich nie pyta. Nie zaprasza się ich na narady, gdzie zapadają decyzje dotyczące spraw kulturalnych miasta. A przecież to właśnie w nich, młodych, trafiają dobre i złe skutki podjętych decyzji. Mają prawo żądać, aby przynajmniej zapytano ich o zdanie.

Wydaje mi się, że w obecnej sytuacji warto urządzić naradę młodych pisarzy. Warto, aby na naradzie takiej wysłuchali głosów młodych pisarzy przedstawiciele Komitetu Łódzkiego partii, Wydziału Kultury, redaktorzy pism łódzkich i wydawcy. Warto postawić na młode pokolenie.

A „modnisie“ niech poszukają sobie nowych kostiumów. Wiosennych.

ZBIGNIEW NIENACKI

TADEUSZ GIERYMSKI

TANAOS

Zwolniłeś obroty. Wracasz do siebie. Z oddalenia.
Liże ci oczy wiatr tessalski. Niespokojną
Burzą napełnia korę mózgu. Słyszę, mówisz
Głosem tak obcym — Thalassa kai oinos.
Morze i wino. Żegnaj. Żeglarz płynący do domu
Wyspę napotka z językiem głębokiego cienia,
Odpocznie. Odpocznie pod słońcem gdzie nieczuła alga
Słoną bryzgę na głosy Oceanid zmienia.
Inaczej jest przy tobie. Opatrunek, gaza,
Antybiotyk w szyszaku wkracza w bitwę zbrojną.
Słońce wypełnia korę mózgu. Słyszę, mówisz
Głosem tak obcym — Thalassa kai oinos.
Nad morzem wstają mewy. Mają głos różowy.
Jak gardła muszli. Kolują zakosem,
Nagłym zwiędnięciem skrzydeł, białą metaforą.
Upadają ciężarne jakby snem karmione.
To niedaleki kraj, znał go podróżny
Co w neseserze złożył jego wizerunek
pachnący mokrym piaskiem i ziarnistą wełną —
Thalassa, mówił, jest jak trunek
Nie wiem, nie byłem tam. Znam coś niecoś z książek,
Wiem, że był Odys, może jest Itaka,
Wyspa o której częstom pisał
Że jest podobna do smutnego pawia,
Lub do barana o srebrzystej sierści
I że ma dużo z tęsknoty za śmiercią
I z oddalenia od ciebie. Sam jesteś,
Piszesz coraz chłodniej. Dojrzałość — smak soli.
Nożyce chirurga jak blachę tną niebo,
Twoja gwiazda się chwieje. Byłeś zbyt zuchwały.

Idziemy do teatru. Podają Szekspira,
Na kolorowej tacy w śniegu i tłustej zieleni
Tańczy baśń z letniej nocy. Aksamitny chrabąszcz
Buczy w lesie ardeńskim. Człowiek, miłość, łowy —
Lekki ciężar ważymy na oczach. Cóż znaczy
Ta ulotność chwili i dźwięku i światła,
To wszystko co w tej chwili do ręki się garnie
Łagodne i zaśnięte?
Jak los skalpel chirurga
Odprysnął od ciała. Życia nie ma. Słyszysz —
To wiatr podróżny, mewy krzyczą biało.

KONRAD FREJDLICH

WYROK

zatrzaśnięci w ciasnej celi żeber
głuche łomotanie pustki w piersiach
ciemno — słońce zaszło za zmrużone w pół powieki
horyzont myśli jest daleko

pośpieszne windy w żył tunelach
strach w nas rozwożą w dół i w górę
spadanie gardła jak ściśniętych pięści
zazgrzyta odsłaniany judasz myśli

to świat spuchnięty mrużymy powiekami
czas z brzegów występuje mokrym potem
wychodzimy na światło które nas oskarża
a cienie spadające ucinają głowę

ULICA

bierzemy ulicę w usta
kruchą słomkę światła i pędu
dmuchamy mocno
wydmuchać bańkę mydlaną ze słońca
aż pęknie
i zmierzch posypie na miasto.

czasem w deszczowy dzień
miasto
ulicami do morza spływa
przy szybie trwamy
a szare godziny
odfruwają syte z furkotem

świat się kończy
za tamtym rogiem
nieba witryną —
w nas jeżdżą auta
w nas tramwaje
kiedy przymkniemy oczy

nie lubię tylko gdy
głową przechylona w niebo
wolno odchodzisz
z ulicą upiętą we włosach
a na złączeniach szyn
jesień stuka miarowo.

JERZY WALEŃCZYK

KRAKOWSKI SWETER

My, łodzianie, cierpimy na kompleks prowincji. Zdaje nam się, że jesteśmy w tym kompleksie osamotnieni, polubiliśmy go, kochamy niezdrową miłością chorego, który przywiązany jest w sposób maniakalny do swojej choroby. Modne jest u nas spekulowanie na temat wad i niedostatków naszego miasta. Inwazja zarzutów jest zastraszająca, ale nie kontrolowana i — nieprzekonywająca.

Byłem w Krakowie. Ba, powie ktoś, cóż za porównanie! Powie ktoś: w Krakowie jest mnóstwo ludzi utalentowanych, tam jest Wieża Mariacka i hejnał, i tradycje, i teatrów mnóstwo, i kabaretów upowszechniających nowość i uczących szacunku dla dobrego konserwatyzmu. Tam piwnica „Pod baranami“, piwnica cała gęba, taka, jaka być powinna, tam przeszłość i teraźniejszość, ciąg pokoleń artystycznej braci, tam kultura jest pępkiem miasta. Zapewne tak jest.

Ale i Kraków cierpi na kompleks prowincji. Oczywiście inaczej niż my. Nie jest to ów nasz kompleks nie złomny, bezlitosny dla miasta. Tamten jest niewinny a jednak rzeczywisty. „Czy wie pan, dlaczego ostatni cud był w Warszawie a nie w Krakowie? Nie, nie wie pan? Bo co wartościowsze ucieka z Krakowa do Warszawy“. Oto dowcip, kursujący aktualnie w Krakowie.

Uciekł do Warszawy Sławomir Mrożek, którego „Męczeństwo Piotra Ohey'a“ idzie z dużym powodzeniem w teatrze „Groteska“. Alicja Bobrowska, zdobywczyni czwartego miejsca w konkursie Miss Universum 1958, absolwentka Szkoły Tetralnej w Krakowie, aktorka Teatru im. Juliusza Słowackiego, przenosi się wraz z mężem, również aktorem, do Warszawy. Jak twierdzi, ze względów mieszkaniowych. Opowiadał mi młody aktor i reżyser, który tu przyjechał z Ostrowia Wlkp., że trudno mu się zaaklimatyzować, mimo iż mieszka w Krakowie już trzy miesiące. „Chyba wrócę na prowincję, tam czuje się swobodniej“.

Kraków jest istotnie szczelny, impregnowany, wprawdzie cichną pomruki konserwy i chwałę biorą od lat młodzieńcy nie starcy, jednak nowość jest zamknięta grubymi murami, a jakiekolwiek hałaśliwe sprzeciwy są stłumione zakamarkami piwnicznymi i ciasnymi podwórkami niejasnych teatrzyków, gdzie młodzi aktorzy zgrywają się z siebie, z publiczności, a na dodatek bardzo źle mówią. A jednak są to drożdże spulchniające fikuśny keks kultury Krakowa. Dla przykładu „Teatr 38“. Modny, zamknięty, zakochany w Adamowie. Genecie, przewidujący około 70 osób na sali, scenka mniej więcej 4x4 metry. Antymonumentalny, programowo

Fot. W. Machejko

Fot. W. Kraska

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Flatrować nie wolno*)

Choć od lat blisko dziesięciu pisuję recenzje teatralne w prasie łódzkiej, a „Pstrąg" istnieje od lat pięciu, nie zdarzyło mi się dotąd ani razu relacjonować przedstawień tego studenckiego zespołu. Kiedyś przecież trzeba zacząć, i dlatego przyjąłem zamówienie od Redaktora „Odgłosów". Niemal równocześnie jednak opadły mnie wątpliwości.

Bo, proszę państwa, o teatrze amatorskim trzeba inaczej. Wiadomo, że aktor zawodowy, na którym nie zostawisz suchej nitki, przynajmniej gażę za to bierze. Ale amator — nie. Więc już z tej choćby przyczyny należy się z nim obchodzić łagodniej.

A mówiąc poważniej, to sama funkcja amatorskiej sceny jest zupełnie inna niż zawodowego teatru. Spróbujmy określić różnicę. O ile zawodowy teatr składa się ze stałego zespołu i zmiennej publiczności, której dostarcza artystycznych wzruszeń, o tyle w amatorskim teatrze zespół i widownia są w pewnym sensie stałe, ze sobą w trwały sposób związane. To jakaś forma zabawy w teatr, podczas której aktorzy i publiczność zawierają rodzaj niepisanej umowy: nie traktujmy wszystkiego zbyt serio, kwitujmy śmiechem umyślne i przypadkowe potknięcia, pomagajmy sobie wzajemnie wyobraźnią i humorem.

W teatrze zawodowym wszystko musi „grać". Widz nie daruje żadnego przejawu niedotarcia przedstawienia. Czystość realizatorska i wyeliminowanie przypadków — to wprost elementarz. A w teatrze amatorskim? Przeciwnie. Byłoby wręcz faux pas, gdyby nie zdarzały się tu jakieś sypki i gaffy. Gdyby światło nie gasło w najnieodpowiedniejszych momentach, a wykonawcom nie pokiełbasiła się rola lub nie zawieruszyły rekwizyty. W tym jest swoisty urok i wdzięk.

Dlatego więc ocenianie amatorskiego przedstawienia odpowiadać powinna na pytania, czy zabawa w teatr jest udana, czy angażuje liczny zespół ludzi i czy utrzymana jest na kulturalnym i estetycznym poziomie.

„Pstrąg" cieszy się w środowisku studenckim i młodzieżowym dużym powodzeniem, a programy jego oceniane są wysoko. Wokół teatrzyku skupiła się grupa zdolnych ludzi, jak Słowikowski, Hertel, Machejko, Skotnicki, Skrzydło i inni. Zapewnili oni dobry poziom literacki wykonywanych w „Pstrągu" tekstów i ładne melodie piosenek. Zwykłą koleją rzeczy nie ustrzeżono się przy tym w ciągu pięciolecia przed popadaniem w pseudoekskluzywną manierę, przed udziwnianiem i przeintelektualizowywaniem (uff, co za słowo!) zabawy.

Ale nie stawiałem sobie zadania oceny pięcioletniej działalności „Pstrąga", tylko jego ostatniego programu „Siódme nie flatruj". A ten wolny jest całkowicie od wymienionych wyżej skaz. Wesoły i bezpretensjonalny wodewil, pióra Jana Skotnickiego i Janusza Słowikowskiego, rozgrywa się współcześnie w środowisku bałuckich gołębiarzy. Szlachetne lecz zamierające już zajęcie uboczne, czyli hobby, jakim jest hodowla gołębi, łączy się ze specyficznym bałuckim folklorem, który autorom wodewilu udało się doskonale uchwycić.

Flatrowanie, czyli podkradanie cudzych gołębi to największe przestępstwo wśród gołębiarzy. Na tym tle rozwija się w wodewilu, niczym w szekspirowskim „Romeo i Julii", spór dwojga rodów o gołębia. Komplikuje to sytuację dwojga kochających się młodych ludzi. Całość nie kończy się jednak krwawym dramatem, tylko pojednaniem, a wszystko przeplatają urocze piosenki — niektóre oryginalne, zaczerpnięte ze skarbnicy łódzkiego folkloru, inne dopisane i skomponowane. Wśród tych ostatnich szczególnie zabawne są: „Tango o dwoistości pojęcia władzy" (słowa J. Słowikowskiego, muzyka, P. Hertla) i „Piosenka wojskowa" (słowa J. Słowikowskiego, muzyka — W. Afelt, P. Hertel, J. Słowikowski) o zacięciu satyrycznym dużej klasy. W ten sposób pokaźny portfel piosenek, jakim dysponuje „Pstrąg" powiększył się o nowe znakomite pozycje.

Całość wyreżyserował czysto i ze znawstwem tematu Janusz Kłosiński. Zespół wykonawców doborowy. Osobiście najwyżej postawiłbym Wojciecha Boczkowskiego (Kizior I), Andrzeja Muslałowicza (Kizior II), Janusza Gawlika (Antoni), Jerzego Pieczyńskiego (Generał) i Marię Tomaszewską (Mańka). Przemiły był także chór sekretarek w DRN.

Wodewil pstrągowy, to naprawdę bardzo przyjemna zabawa.

*) „Siódme nie flatruj", nibywodewil bałucki. Napisali: Jan Skotnicki i Janusz Słowikowski; współpraca: Leszek Skrzydło; reżyseria: Janusz Kłosiński; scenografia: Roman Szybilski; muzyka: Witold Afelt, Piotr Hertel, Tadeusz Dobrzyński; układ tańców: Melania Rudzka, Elżbieta Skotnicka.

Zdjęcia: W. Kraska

czyli CUDZE CHWALICIE SWEGO NIE ZNACIE

niedoskonały. Kasjerka ma ochrypły głos. „Popracuj nad swoim głosem, przecież są środki, aby go udoskonalić" — mówi jej kolega oparty o budkę kasy. Czekają razem na widzów. Są widzowie. Owszem. Liczę: siedemnaście osób. Ale kasjerka zrobiona na Juliet Greco to zapewne Nemezis teatrzyku. Usiądzie w pierwszym rzędzie wraz z „garderobianą" i będą złośliwie chichotać z kolegi na scence, który gra antyaktorsko, robi antyteatr i anty-Słowackiego. Idzie „Samuel Zborowski". Chichoty ochrypłej kasjerki udzielają się aktorom. Wykrzywiają usta, aby się nie śmiać. Przez siedemnaście osób na widowni przebiega jak prąd poczucie nagłego pokrewieństwa. Dwie starsze panie wściekłym szeptem rozmawiają ze sobą po francusku. A jednak to wszystko nie niszczy atmosfery. Przeciwnie, stwarza ją, w swoisty sposób przyozdabia. Nie dziwmy się. Ale poczułem się tu bliższy jakiejś narodowej koncepcji „naplewatielstwa".

W piwnicy „Pod baranami" gorąco i ciemno. „Śmierć w kawiarni" to tytuł programu idącego od dłuższego czasu z pewnymi modyfikacjami i improwizacjami. Tu się nie zgrywają. Aktorzy, z których połowa to zawodowcy grywający w innych renomowanych teatrach, inspirują salkę, w ciemności kołyszą się głowy, tułowia. Misterium, historiozofia, identyzm marzenia i nastroju, intelekt i polityka. Przy mocniejszych akcentach jacyś młodzi ludzie z sali podsycają nie wiadomo kogo: „W ucho go, w ucho". To młodzież trzyma rękę na pulsie historii. Co za skojarzenia! W kinie „Iluzjon" idzie „Młody las". Pamiętacie ten stary, przedwojenny film? Nie, nie „Pod baranami" idzie, a w kinie „Iluzjon".

Jak można wnosić z pobieżnych oględzin Krakowa, buduje się tu znacznie mniej niż w Łodzi i trudniej jest o pracę niż u nas. Gdzieś w pobliżu Jamy Michalikowej spotkałem młodą dziewczynę, która po piętnastu minutach rozmowy w tej kawiarni z pięknymi tradycjami opowiedziała mi jak chodzi bezskutecznie od kilku miesięcy do krakowskiego pośrednictwa pracy i nie może dostać żadnego zajęcia. Wzięłaby każde, płatne w granicach 500—800 złotych. Po półgodzinnej znajomości zdecydowała, że pojedzie ze mną do Łodzi. Zacząłem jej się przyglądać uważniej. „No dobrze, ale czy pani sądzi, że jestem Jezusem Chrystusem?". „Wiem, że nie, ale ja się zgadzam". „Dobrze, ale ile pani ma lat chyba już siedemnaście, co?"

Pomilczała chwilę, małą drapieżną chwilę, która mi skoczyła do gardła.

„Więc szesnaście?"

O nieprzebrane skarby młodości, o piękne okoliczności i przypadki! „Będę miała we wrześniu szesnaście lat". Ojciec podobno emeryt, matka choruje. Dziewczyna z wsi podkrakowskiej, w czarnych pończochach, unowocześniona. Umówiłem się z nią na czwartek, w Krakowie. Przyjechałem do Łodzi we wtorek nocą, to znaczy na dwa dni wcześniej.

Często w Łodzi sarkamy na niesforną młodzież, na to, że w kawiarniach dzieje się to i owo. W Jamie Michalikowej nie lepiej, a raczej daleko lepiej. Jakiż wachlarz możliwości, ile dziewczynek podejrzanego autoramentu „dziewcząt lekkiej muzy", jak się tutaj mawia.

Ale krakowianie nie dadzą nic złego powiedzieć na swoje miasto. Celebrują się wzajemnie i wydaje im się, że jest to bardzo konstruktywny wzór dla łodzian. A w ogóle sporo jest dobrych wzorów, tu taj, w Krakowie. W Miejskim Teatrze Rapsodycznym dzięki młodemu reżyserowi i aktorowi Tadeuszowi Malakowi i dyrektorowi Mieczysławowi Kotlarczykowi wystawiono misterium poezji współczesnej pt. „List do ludożerców" — złożone z tekstów Mirona Białoszewskiego, Jerzego Harasimowicza, Tadeusza Różewicza — i moich. Trudno mi cokolwiek więcej pisać o tym pięknym spektaklu. Zaraz dziennikarz z „Głosu Robotniczego" (pisma, które szanuję, zamieści notkę o megalomanii, a do redakcji „Odgłosów" (pisma które szanuję) nadejdzie anonimowa korespondencja w sprawie mojego kompleksu wyższości. Dlatego — stop.

My tu w Łodzi zawsze mówimy: robotnicze miasto, nie da się uskrzydlić. A jednak to nieprawda. Przecież mamy szkoły artystyczne, wartościową młodzież, mamy środki, aby rozjaśnić miasto bogactwem nowych form kulturowych. Stać nas na więcej imprez artystycznych, na poważne twórcze przedsięwzięcia, na więcej wieczorów autorskich, wystaw, stać nas na dyskutowany od dłuższego czasu w kręgach zainteresowanych — miesięcznik literacki.

W Krakowie nie ma nigdzie tak pięknie odnowionej ulicy jak nasza kochana Piotrkowska. Ale gdyby była, jestem pewien, że nastąpiłoby oficjalne odsłonięcie takowej, przecięcie wstęgi i cały Kraków by z tej racji świętował.

Na jednej z wystaw krakowskich dostrzegłem piękny sweter, biały w czarne pasy. Pomyślałem, że warto by kupić taki sweter autentyczny krakowski, posnobować się w Łodzi takim swetrem, a i niejeden Jan Czarny by mi pozazdrościł, oglądałby i smakował, brałby w dwa palce, analizował i komentował. Wahałem się długo, kilkakrotnie w ciągu czterech dni wracałem do tej wystawy, wreszcie zdecydowałem się na kupno. Oglądam go w sklepie ze wszystkich stron, ów wymarzony, krakowski sweter. Patrzę na etykietę firmową i czytam: „Wyrób Spółdzielnia „Świt" Łódź".

Oczywiście, nie kupiłem.

Cudze chwalicie, swojego nie znacie — pomyślałem. A właściwie to mam kaca moralnego. Nie pomogłem dziewczynie. A może, mnie nabierała? Nie wiem. Chciałbym, aby tak było ty Czytelniku mój, niewinny i czysty.

ZOFIA BARTNICKA

Sędzia Sądu dla Nieletnich

Dalszy ciąg dyskusji

Dzisiejsza MŁODZIEŻ

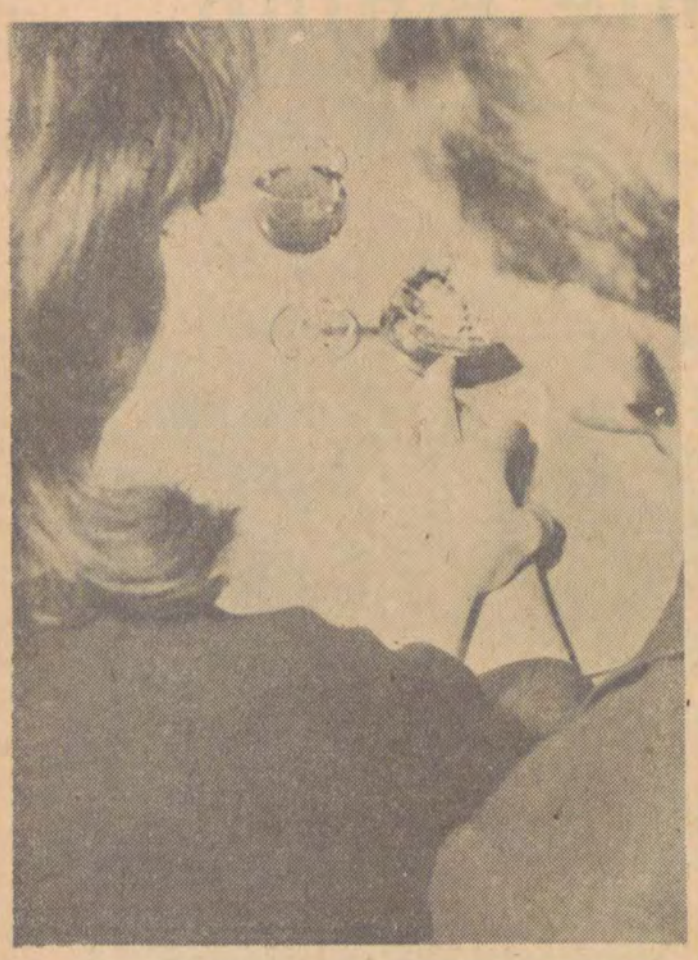

Zagadnienie młodzieży, jej dążeń, postawy i dyscypliny wewnętrznej, postępów w nauce od dłuższego czasu stało się przedmiotem zainteresowań szerokich mas społeczeństwa. Zaliczam to zjawisko do objawów bardzo pozytywnych — w każdej bowiem sprawie najgorsza jest obojętność i milczenie.

Dlatego też wdzięczna jestem Redakcji za umożliwienie mi wypowiedzenia się na łamach Waszego pisma które bardzo cenię.

Zacznę od ustawodawstwa.

Zasadnicza zmiana w przepisach dotyczących pełnoletności obniżyła granicę dojrzałości prawnej — nasi młodzi obywatele stają się pełnoletni, gdy ukończą osiemnaście lat.

Przepis ten obowiązuje, ale czy my starsi, opiekunowie młodzieży, zrozumieliśmy jego znaczenie i stworzyliśmy naszej dojrzałej młodzieży odpowiednie przygotowanie życiowe? Czy nasze programy szkolne w minionych latach zagwarantowały dostateczny zapas wiedzy o życiu, pracy, gospodarstwie domowym dla dziewcząt? — stanowczo nie

W tym też okresie czasu powiedzieliśmy sobie, że młodzież nasza jest wspaniała i zajmowaliśmy się sprawami niewątpliwie bardzo ważnymi, odsuwając zagadnienia wychowawcze na plan dalszy.

A teraz mówimy, że należy podwyższyć granicę wieku dojrzałości, przynajmniej do lat 20. Czy istotnie wiek jest decydujący? Zdaniem moim, jest to sprawa ważna, ale nie najważniejsza w trudnym, skomplikowanym procesie wychowania.

Nie pamiętaliśmy również, my dorośli, że obecnie życie idzie naprzód milowymi krokami, ogromne zdobycze nauki, techniki, wiedzy otwierają nowe perspektywy i stwarzają przewroty w naszych pojęciach — to wszystko młodzież przeżywa inaczej i głębiej od nas.

Ponadto nie zabezpieczyliśmy młodzieży odpowiednio zorganizowanych i przyjemnych rozrywek.

Gdy parę lat temu wystąpiłam na Sesji Rady Narodowej z wnioskiem utworzenia dla młodzieży w centrum naszego miasta lokalu bez alkoholu z występami artystów i odpowiednim programem — spotkałam się wówczas nie tylko z oporami, ale żywym protestem i argumentem, że w mieście naszym brakuje pralni, których ilość musi być zwiększona.

Jestem kobietą i bardzo doceniam znaczenie pralni i prania, ale rozumiem również, że w naszym mieście odczuwamy gwałtowny brak odpowiedniej ilości domów kultury dla młodzieży, w ogóle miejsc, w których młodzież może spędzać czas wolny od nauki czy pracy.

Młodzież kończy siedem oddziałów szkoły podstawowej i nie chce uczyć się dalej, nie chcąc często pracować, chce natomiast stać się jak najszybciej dorosłymi. W tym trudnym dla młodzieży okresie często jest ona dziwnie osamotniona, przychodzi największy wróg, nuda, która nigdy nie sprzyja twórczości czy inicjatywie.

Często narzekamy, że młodzież wybiera zawody łatwe, dobrze płatne, wybiera te zawody wbrew swoim zamiłowaniom.

A czy my w tym trudnym okresie wiemy coś o młodzieży, czy dostateczną opieką otaczamy chłopca lub dziewczynę przy podejmowaniu ważnych decyzji życiowych? Kiedyś przychodził do mnie chłopiec, który rzucił szkołę w klasie jedenastej, porywczy, gwałtowny, narażał się otoczeniu, nierozumiany przez matkę, ojca nie miał. Chłopiec nie miał żadnego kierunku wychowania, był zniechęcony do życia i trudno było bardzo zaszczepić mu trochę optymizmu.

A zatem wniosek.

Oceniam młodzież pozytywnie, z tym naturalnie, że zdarzają się smutne wyjątki, jak na przykład postacie z repertażu „Pijane dzieci we mgle", ale poznajemy tam dziewczęta z naszej kroniki sądowej.

Apel do rodziców i wychowawców — powtarzany przez nas stale: dostrzegajmy młodzież i nasze dzieci na codzień i od święta. O tym święcie przytoczę jeden przykład z akt sądowych. Pewni rodzice w niedzielę poszli do kina, zapominając, że syn ich pozostał sam w domu. Chłopiec po namyśle również poszedł do kina, ale z kolegami. Namówiono go szybko do handlu biletami, kupiono wino, później awantura i sprawa w Sądzie.

A gdyby tak rodzice poszli razem z synem do kina?

* * *

Parę lat temu przyjechał do naszego Sądu młody, pełen zapału redaktor. Czytał akta, przysłuchiwał się rozmowom i zwierzeniom rodziców opowiadających swoje tragedie rodzinne lub przejścia z dziećmi.

Przed wyjazdem zapytał: „Czy pani wierzy w człowieka, tu pracując?"

Na odpowiedzi jemu udzielonej niech mi wolno będzie zakończyć swoją wypowiedź: „Wierzę w człowieka i wierzę w naszą młodzież".

TADEUSZ PAPIER

MIASTO I ULICA LIŚCIASTA

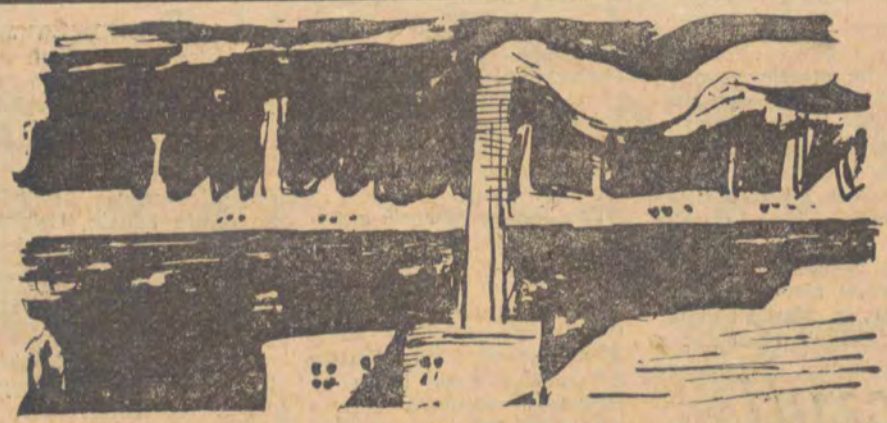

Wsiadam do samochodu. Punkt startowy: Al. Kościuszki. A potem jedziesz Piotrkowską, skręcasz na Zarzewską. Jak wygląda ulica Piotrkowska doskonale się orientujesz. Ale już o Zarzewskiej wie się mniej. Wycieczka samochodem ma swoje zalety i wady. Wadą jest to, że rzeczy mijane ogląda się bardzo pobieżnie. Zaletą — że wiedzę o przedmiocie, w tym wypadku o Łodzi, zdobywa się w sposób przyśpieszony.

Tow. Rejniak chciał nam — pracownikom „Odgłosów" — pokazać Łódź, ale tę nową, która się buduje. Dlatego wybrał trasę okrężną: Zarzewska, potem Kilińskiego, Doły, Żubardź, Rokicie, osiedle 1 Maja. Już na Zarzewskiej trzeba było wykręcać głowę na prawo i na lewo. Widok był taki: parterowy drewniany domek (weberowski), stara kamienica i nieco w głębi nowy blok. Na razie nie otynkowany. I znowu domek weberowski i nowy blok. Nazywa się to plombowaniem ulicy. Po pewnym czasie jezdnia zostanie poszerzona, stare domy wyburzone i narodzi się nowa ulica.

Skręcamy w inne ulice. Ten sam widok. Jesteśmy jeszcze w Łodzi, dopiero o Dołach można będzie powiedzieć, że to są krańce miasta, ale tutaj jest jeszcze atmosfera śródmieścia. A mimo to widoki zaskakujące. Odnosimy wrażenie że jedziemy ciągłym placem budowy. Co pewien czas wpadamy w kompleksy nowych zabudowań. Oto wylot ulicy Uniwersyteckiej. Chyba najwspanialszy wjazd do Łodzi. Szeroka „arteria" wlotowa, ciekawa panorama miasta, i kolorowa ulica. Domy są pomalowane zbyt jaskrawo, ale podobają się. Tow. Rejniak powiada, że nie radzono się tutaj „artystów". Dobry żart...

I Doły. Osiedle dla dwudziestu tysięcy ludzi — sklepy, księgarnie, zaopatrzenie. Wiadomo, że Łódź się buduje. Znamy już na pamięć nazwy nowych osiedli. Brzmią one jak „poezja", a więc nieco nierealnie. Nam, mieszkańcom ciasnego śródmieścia, wydaje się, że takie Doły albo Żubardź, to jeszcze jeden tzw. „chwyt". Ale proszę: nakłady inwestycyjne na jednego mieszkańca w roku 1958 wyniosły (w cenach bieżących) 2.693 zł. W roku 1946 oddano do użytku w gospodarce uspołecznionej i prywatnej 647 izb, ale już w 1951 — 4.204, a w 1958 — 7.194. Ogółem w latach 1946—1958 — 48.097. A każdy dzień przynosi nowe deklaracje i nowe izby.

Te „Doły" są doprawdy imponujące. My się nie wdajemy na razie w szczegółową analizę. Nie oceniamy „architektury" (chociaż to wszystko jest nader ładne) ani wykonania. Słyszałem na przykład, że pewien młody lekarz, który otrzymał mieszkanie w „Osiedlu Kochanków", nie może przybić obrazu do ściany. To są inne sprawy, i myślę, że „do załatwienia". Jesteśmy tutaj, aby naocznie przekonać się o rozmachu budowy nowej Łodzi. To już nie są żarty i nie slogan. Wycieczka, której pomysł, przyznać się trzeba teraz, napawał trochę nieufnie, nastroiła nas na „wysoki diapazon". Wyobraźcie sobie: objechać dokoła Łódź pomiędzy nowymi domami.

A Żubardź! Interesujące zjawisko. Oto na krańcach tak zwanej Wielkiej Łodzi powstają nowe osiedla, bynajmniej nie o charakterze dawnych przedmieść. To są nowe centra z własną siecią zaopatrzenia, rzadziej z własnymi księgarniami, bibliotekami, a najrzadziej z kinami, czy salą teatralną. Dysproporcja pomiędzy budownictwem mieszkaniowym i kulturalnym wciąż jeszcze jest rażąca. Centra mieszkaniowe nie są — niestety — centrami kulturalnymi. Brak kin, niewielkich chociażby sal klubowych z prasą radiem, telewizją i podręczną biblioteką — to fakt.

Żubardź leży na wzgórzu. Widok stąd rozległy. Właśnie dlatego, że nowe osiedle zaskakuje i swoim pięknem i celowością rozmieszczenia, przychodzą na myśl różne niepokojące podszepty. Łódź nazywają miastem kontrastów. Epitet ten odnosi się co prawda do Łodzi już historycznej — gdyby dzisiaj ktoś chciał te kontrasty wskazać, mówiłby przede wszystkim o nierównomiernym rozmieszczeniu placówek i instytucji kulturalnych.

Właśnie: niedaleko Żubardzia jest ulica Liściasta. Nasza „Warszawa" tam nie dotarła. To już jest kraniec krańców Wielkiej Łodzi. „Odgłosy" opublikowały niedawno list mieszkańców z tamtego osiedla. „Piszemy do Was z głębi puszczy znajdującej się w obrębie Wielkiej Łodzi... Świetlica nasza jest jedynym obiektem kulturalnym w całym naszym osiedlu... Od najbliższego przystanku tramwajowego dzieli nas 30 minut drogi pieszo".

Ulica Liściasta. W lutym 1960 roku odbył się tam „po raz pierwszy odczyt". Pewnego dnia przyjechało dwóch pisarzy, delegaci Biblioteki Waryńskiego również. Strażacy, bowiem oni są gospodarzami świetlicy, dali znak mieszkańcom osiedla: zawyła głucho syrena. Nad ulicą huczała syrena: Uwaga, za chwilę odczyt. Po odczycie gościnni gospodarze częstowali ciastkami, winem. Nawiązano „kontakt". Między Łodzią a ulicą Liściastą jest szere pole. W nocy Łódź jarzy się milionem świateł. Na głowicach wysokich dźwigów palą się czerwone światła. Czerwone światła widać na Żubardziu, na osiedlu 1 Maja i z prawej strony Łodzi też. Na ulicy Liściastej tylko słabe żarówki zawieszone nad sennymi domami. Pożarów nie ma, więc syrena strażacka milczy. Chyba że zdarzy się nowy odczyt.

Oczywiście, o Liściastej można napisać czarny reportaż. Dlaczego nie? Perspektywa Łodzi jest stąd urzekająca — ale jak w baśni — bardzo odległa. Spróbuj powiedzieć coś pocieszającego człowiekowi, który dzień w dzień, rano i wieczorem idzie 30 minut do tramwaju. Lecz myślę, że można coś niecoś powiedzieć.

Liściasta patrzy na Łódź, lecz czy Łódź spogląda na Liściastą? Właśnie tutaj, na budującym się po sąsiedzku Żubardziu, podziwialiśmy nowe szkoły, nowe domy (zdarzyło nam się także zobaczyć dziewczynę nabierającą wodę z kranu ulicznego) nie mogliśmy podziwiać zwykłych i koniecznych instytucji kulturalnych. „Łódzkie kontrasty", a więc wszystko, co odnosi się do niesprawiedliwego podziału i rozdziału dóbr materialnych i duchowych, trwają więc nadal. Czy więc Liściasta może czerpać otuchę właśnie z bliskiego jej Żubardzia?

Powracamy do Łodzi. Wjeżdżamy na rozkopaną ulicę Żeromskiego. Tu po raz pierwszy zaklął sam sekretarz propagandy — i wybaczcie — wydaje nam się, że centrum miasta może być już dziś znacznie szersze, może objąć Doły i Żubardź. Ale pod warunkiem, że wraz z pięknymi mieszkaniami pojawi się tam kino, klub, kawiarnia, księgarnia i biblioteka.

Władysław Rymkiewicz
ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna **XIII.**

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego" rozgrywa się w XVII-wiecznej Polsce. Rządy Jana Kazimierza znajdują się w nieustannym zagrożeniu — to ze strony wrogów zewnętrznych, to ze strony warcholskiej szlachty. Oto właśnie bracia pięknej pani Radziejowskiej — z którą romansuje Jan Kazimierz — napadli na pałac męża swej siostry. Podkanclerzy Radziejowski przypuścił szturm do własnego pałacu. Nie obyło się bez ofiar i sprawę lekce sobie ważących władzę królewską magnatów musi rozpatrzyć sąd marszałkowski.

●

ROZDZIAŁ X

Szyba w kolasce opadła i z okna wyjrzała woskowa twarz Czarta-Jaworskiego, wąska i chuda, o trochę skośnych oczach i siwych zawiesistych wąsach.

Ogłuszające dudnienie bębna wypełniało Rynek staromiejski. Woźny generalny w asyście straży marszałkowskiej zapowiadał bębnieniem ogłoszenie wyroku.

Gdy bęben przestał grzmieć woźny zaczął odczytywać monotonnie datę (22 stycznia Roku Pańskiego 1652), nazwiska stron i motywy wyroku. Dopiero, gdy doszedł do sentencji, natężył głos i obwieszczał powodi, ochryple i uroczyście: — „Ponieważ badanie sprawy okazało, że podkanclerzyna Elżbieta Radziejowska i brat jej podskarbi W.Ks. Lit. Bogusław Słuszka na kary kryminalne nie zasłużyli, skazuje się ich na rok i dwanaście niedziel ciężkiego więzienia i grzywny w kwocie 2000 florenów".

Surowa twarz woźnego skostniała z zimna. Odchrząknął i oczyściwszy krtań z flegmy natężył jeszcze bardziej głos: — „Gdy zaś to samo badanie okazało, że podkanclerzy Hieronim Radziejowski napadł na dwór podkanclerzyny sposobem wojennym i zabił kilkoro ludzi, przeto Sąd marszałka Jego Królewskiej Mości w porozumieniu z Radą senatu znalazł go winnym kary kryminalnej za zbrodnię obrazy Majestatu i skazuje go na śmierć".

W nieruchomej woskowej twarzy w oknie kolaski nie poruszył się muskuł, nie zadrgał nerw.

Woźny zrobił małą przerwę dla zaczerpnięcia oddechu, spojrzał surowo znad arkusza z wyrokiem na zasłuchany tłum i czytał dalej: — „Ponieważ jednak ucieczką się schronił, skazuje go na infamię i banicję z Królestwa i oddaje wyrok niniejszy woźnemu do wywołania".

W ciszy po odczytaniu wyroku mogłoby się zdawać że w całym Rynku rozlega się ostry, suchy szelest arkusza z okrągłą lakową pieczęcią na jedwabnej tasiemce, zwijanego w rulon w czerwonosinych z zimna chropowatych rękach woźnego generalnego.

— Ruszaj! — przeniknął wy szept Czarta-Jaworskiego wyrwał woźnicę z zamyślenia. Podniesiona szyba zasunęła się ze słabym trzaśnięciem i kolaska wjechała ostrożnie w rozchodzącą się opieszale ciżbę. Jaworski zapadł w lekki starczy sen, przez który przebijało się turkotanie kół na zlodowaciałej grudzie.

W połowie drogi do Grójca obudziły szlachcica krzyki, wstrząs zatrzymanego pojazdu i mroźny przewiew ciągnący na przestrzał z zaśnieżonych pól przez otwarte z obu stron drzwiczki.

— Zabiję jako psa! Jużeś się nabył na świecie, psia jucho! — srogi wąsal szturchał Jaworskiego lufą pistoletu w bok. — Za co podziękowanie od twoich sukcesorów odniosę — wybuchnął rubasznym śmiechem. Przez drzwiczki zaglądały spierzchłe od wiatru twarze, wyciągały się posiniałe z zimna ręce, błoczyły krótkie kożuszki żołnierskie i przekrzywione kosmate kuczmy na głowach.

— Gadaj, czarapacho, gdzie twój pan? — z drugiej strony bódł Jaworskiego czekanem szpakowaty wielmoża o zarosłej twarzy.

Jaworski pojął, że został napadnięty przez ludzi pana Bogusława Słuszki, czyhających na drogach na podkanclerzego.

— Gadaj, wieprzu nieczysty, bodaj cię zabito, nie będzie cudniej!

Jaworski odsunął czekan, odepchnął z obojętnością pistolet.

— Nie znam pana Radziejowskiego, Szlachcic spod Grójca jestem i do domu wracam. Nie znam też i nie chcę znać waćpanów, co jak zbóje na spokojnych podróżnych z pogwałceniem bezpieczeństwa i wolności szlacheckiej na gościńcu napadacie.

Skonsternowani wyniosłym spokojem starca ichmościowie warcząc i grożąc odstąpili od kolaski.

O zmroku pojazd zatrzymał się przed oberżą grójecką „Pohulanka". Kolaska przejechała przez bramę w środku karczmy na przestrzał do stajni z wozownią. Woźnica wyprzągł zdrożone konisko.

Z karczmy przenikały do sieni piskliwe tony skrzypek i beczenie dud. Jaworski pchnął drzwi do izby o belkowanych ścianach i zakopconym suficie. Swąd z mokrego drzewa z komina i pijacki zaduch uderzyły w nozdrza. Podochocona szlachta biesiadowała przy dymiącym łuczywie. — Bywaj mi sam, mości Jaworski — tubalnym głosem zawołał od stołu pan podczaszy sandomierski. — Jakie wieści przywozisz ze stolicy?

Stary zajął niechętnie miejsce przy stole. Żyd karczmarz przybiegł z półkwaterkiem grzanego piwa z serem.

— Żadnych nowin — Jaworskiemu świszczało nieco w gardle. Popił ostrożnie piwa.

— Ejże, być to nie może. Z Warszawy bez nowin wracasz?

Skrzypki i dudy ucieły modnego szańca. Podchmieleni panowie bracia zaczęli przytupywać i w końcu puścili się ze sobą w tany. Kurz podniósł się z podłogi. Jaworski wiódł za tańczącymi roztargnionym wzrokiem. — Mój pan w Grójcu? — półgłosem zapytał przyjaciela podkanclerzego.

— Pan twój, Jaworsiu, pojechał do Piotrkowa — podczaszy Dębicki umoczył usta w piwie. — Będzie tam szukał sprawiedliwości i obrony w trybunale przed czekającym go procesem.

— Aha, przed czekającym go procesem? — Jaworski wpił się źrenicami w podczaszego.

— Liczy pan Radziejowski, na to, że sąd marszałkowski nie rozpocznie postępowania przeciwko nieobecnemu.

Jaworski poruszył siwymi brwiami.

Rys. Tadeusz Kokieta

— Ale tymczasem ludzie panów Słuszków dybią na gościńcach na pana Radziejowskiego — sepleniącym basem mówił podczaszy sandomierski. — A ty, Jaworsiu, dojechałeś bez szwanku do Grójca? Masz szczęście stary wilku! — pan Dębicki poklepał szlachcica po ramieniu. — Ja muszę jutro do Warszawy na sejm, bronić sprawy podkanclerzego. Ty zaś ruszaj z samego rana do Piotrkowa.

Nazajutrz w południe, gdy jak co dnia z wieży kościoła farnego w Piotrkowie rozlegało się nad miastem dziewięć uroczystych uderzeń dzwonu ku wiecznej pamięci bohaterskiego króla Władysława i poległych pod Warną w obronie chrześcijaństwa rycerzy polskich, zabłocona kolaska wtoczyła się na główny Rynek z prastarym Ratuszem, który był zarazem gmachem Trybunału. Z Rynku pojazd skierował się w stronę północno-zachodnią miasta do klasztoru Ojców Dominikanów, zaprzyjaźnionych z familią Radziejowskich. Kolaska zatrzymała się przed starodawnymi murami omszonymi pleśnią wieków. W kwadratowym okienku dębowej furty ukazała się pełna, okrągła, różowobiała twarz tłuściocha. Dominikanin wywrócił wole oczy. — Synu, był u nas wczoraj sługa pana Radziejowskiego, pacholik Nawłok. — Ojciec furtian obejrzał się podejrzliwie. — Pan twój nie mógł dojechać do Piotrkowa. Ludzie Słuszków zasadzili się nań na drogach. Pan czeka na ciebie w karczmie w Mogielnicy.

Jaworski wyszczerzył zęby.

— Nie przeklinaj, synu! — zakonnik zgorszony, odżegnał się znakiem krzyża od bluźniercy. — Jedź zaraz do Mogielnicy.

— Nie mogę, reverendissime. Kandyby, chciałem rzec: szkapy, w drodze mi padną. Muszę im dać pół dnia i noc, żeby wytchnęły — szlachcic zasłonił usta dłonią tłumiąc przekleństwo.

Drugiego dnia po południu kolaska powożona przez furmana Kłoska w uszatej i rogatej czapie zatrzymała się na tyłach karczmy w Mogielnicy przed stajnią. Dygocący ze strachu, przygarbiony Żyd zaprowadził starego szlachcica przez alkierz do bokówki sąsiadującej z izbą wielką.

— Jesteś waćpan nareszcie! — Podkanclerzy sypnął wyzwiskami. — Myślałem, że śmierci prędzej się doczekam niż ciebie.

Wygląd pana Radziejowskiego wzbudzał litość: Twarz zapadnięta, policzki obwisłe, wargi spieczone, oczy jak dwie czarne jamy w masce-maszkarze. — Gdzie Nawłok?

— Nie spotkałem.

— Gadzina, zabrał konie. Pasy drzeć każę, gdy wpadnie mi w ręce! A waćpan takoż, nieobecny, kiedy najbardziej potrzebny. Dybią na moje życie. — Podkanclerzy upił miodu, odstawił kwartę. — Słuszka przeklęty, z namowy króla ściga mnie na drogach. Zniszczyć mnie chce! Niedoczekanie! Jeszcze się odegram. Sejm stanie w mojej obronie — trzasnął pięścią w stół. Cichym szczęknięciem odpowiedział leżący na desce pistolet.

Jaworski poruszył siwymi brwiami i wskazał ruchem głowy na sąsiednią izbę, w której hałasowała szlachta. Przez szpary w wypaczonych drzwiach płynął monotonny gwar rozmów. Pan Radziejowski położył się tułowiem na stole i półgłosem zwierzał się totumfackiemu: — Szlachtę mam za sobą. W całej Koronie sejmiki burzą się i pomstują na dworską politykę. To ja będę sądził króla, a nie ten liżyobrazek jezuicki — mnie! — słowa zazgrzytały w ustach jak ziarnka piasku między zębami.

— Liżyobrazek, wiadomo — potwierdził złowrogo Jaworski.

— W Piotrkowie wniosę pozew do Trybunału przeciwko Słuszkom. W takim przypadku sąd marszałkowski musi zawiesić postępowanie — roztaczał projekty przed małomównym powiernikiem, który słuchał w milczeniu kręcąc dokoła palca siwy sumiasty wąs.

— Coś taki ponury? Czemu nic nie gadasz? — żachnął się podkanclerzy. — Uszy do góry, mosanie! Jeszcze się odegram, ja ci to mówię! Póki człek żyje, póty przed nim nadzieja. Tylko pod ziemią już nie ma nadziei. Co mi tam król? Całej Rzeczypospolitej mało na pognębienie Radziejowskiego. Dwory zagraniczne upomną się o moją krzywdę.

Kopyta zaklaskały na skutej mrozem grudzie przed karczmą.

Jaworski podniósł się z ławy i wyjrzał przez okno. Wstrzemięźliwy jak zwykle, tylko może trochę bardziej surowy, obserwował z kąta, ukryty za framugą. — Dwóch ich przyjechało — mówił drewnianym głosem. — Z tych, którzy zasadzili się na mnie na gościńcu.

Podkanclerzy wziął pistolet ze stołu i odciągnął kurek. — Wołaj, żeby Kłosek zajeżdżał. — Położył broń przy sobie na ławie.

Szlachta z sąsiedniej izby powitała przybyłych z drogi okrzykami zadowolenia i ciekawości.

Trzasnęły oblodzone ramy otwieranego okna. — Kłosek, psi bębnie — wychyliwszy się Jaworski z ciężkim, starczym wydechem zionął wytężonym basowym szeptem w kierunku stajni, gdzie stała zaprzężona w parę koni, przygotowana do drogi kareta. — Zajeżdżaj!

Przez uchylone drzwi wtargnął donośny młody głos: — Prosto z Warszawy, mości panowie! Sąd odbył się nad panem Radziejowskim. Podkanclerzy został skazany — donośny młody głos mówił — na śmierć, wieczną banicję i konfiskatę majątku...

Dalsze słowa zgubiły się w piekielnej wrzawie. Jaworski przytrzymując ręką połowę skrzypiącego na skórzanych zawiasach okna obserwował pana, gotów biec w razie potrzeby z pomocą. Naznaczone śladami ciężkich przeżyć i wyczerpania tułaczką oblicze podkanclerzego poszarzało od zasłyszanej wiadomości. Wzniósłszy odruchowo rękę wierzchem dłoni zsunął z czoła futrzaną czapkę, spod której wypełzł kosmyk zlepionych potem włosów.

— Wyrok wywołano na Rynku — wesoły głos opowiadającego przenikał swobodnie do bokówki. — Za czym wytrąbiono banitę po czterech rogach Warszawy.

Pan Radziejowski wyprężył się i wparł odrzuconą do tyłu głowę w ścianę. Twarz zalała się purpurą, nieprzytomne, szkliące się oczy zdawały się wyłazić z orbit, szyja napęczniała od nabiegłej krwi i zrobiła się czerwona jak połyskujący jedwab żupana świecącego w rozpięciu odwiniętych na piersi wyłogów futrzanej szuby.

D. c. n.

Teledurniej

To nie myśmy wymyślili ten kalambur. Wymyślili go telewidzowie, ci sami, którzy wypowiadając się na temat audycji oglądanych na małym ekranie właśnie teleturnieje umieszczają na drugim miejscu wśród audycji krytykowanych. Na pierwszym są zawsze i wciąż audycje rozrywkowe, zresztą mimo to, najbardziej oczekiwane. Nie znaczy to, że wszystkie programy rozrywkowe są niedobre. Tylko telewizja nie może jakoś trafić do gustów tego przeciętnego widza, jeśli oczywiście chce się zachować jakiś poziom artystyczny. Ale to inna sprawa i przy innej okazji na ten temat. Teraz wracajmy do quizów.

Jeszcze tuła się po Polsce Zgaduj-Zgadula, jeszcze tu i ówdzie organizuje się imprezy tego typu, ale jak się zdaje, następuje ich zmierzch. Bo nie są one już żadną nowością, wyczerpano w zasadzie arsenał pomysłów, począwszy od skubania kury, aż do poznawania po trzech taktach fug Sebastiana Bacha.

W programie telewizji audycje quizowe znalazły sobie bardzo niedobre miejsce. W niedzielę wieczorem, kiedy przy odbiornikach zasiada cała niemal Polska, olbrzymia widownia spragniona dobrego widowiska rozrywkowego, filmu, transmisji koncertu czy przedstawienia teatralnego, karmi się ludzi widokiem intelektualnych zmagań jakiegoś pana na temat kto też napisał „Treny". Dziecko z szóstej klasy odpowiada bez namysłu i odwraca się od ekranu z dezaprobatą, a ten pan jeszcze sobie przypomina. Z Bogiem sprawa, gdy postarano się o jakiś zespół muzyczny czy piosenkarkę. Ale tego się na ogół nie robi, bo to rozbija nastrój intelektualnego turnieju.

Ludzie przy ekranach zgrzytają zębami.

Tak więc powodem zmierzchu quizów stało się: niepopularne miejsce w programie tygodnia, nudne już pomysły konkursów, niedbanie o stronę artystyczną, niski (na ogół) intelektualny poziom uczestników i w końcu te żenujące wszystkich sceny wręczania nagród, każdemu kto odważył się przyjść do studia. I tak co niedzielę. I w końcu to wszystko zaczyna widzów denerwować. Irytuje już nawet sam głos Serafinowicza czy Zakrzewskiego. Ludzie zaczynają się zastanawiać: co w końcu taki quiz daje telewidzom?

Telewizja ma w Polsce ponad milion widzów. Należy się spodziewać, że ich opinia na temat quizów (w aktualnej postaci) jest mniej więcej jednoznaczna. Jeśli zaś jakaś audycja uznana została za przeżytek, nie ma sensu ciągnąć tego nieboszczyka za uszy po ekranach całej Polski. Oddajmy mu należną cześć, pochowajmy i rozejrzyjmy się za czymś innym.

Osobna uwaga, że programy niedzielne naszej telewizji są przykładem chaosu i absolutnego nieliczenia się z potrzebami milionowej widowni, która przecież nie ogląda tych programów za darmo...

LESZEK EKRANOWICZ

Mała prośba do przemysłu radiowego

Odbiorników radiowych mamy już w sklepach pod dostatkiem. Teraz chodzi o to, by nasz przemysł pomyślał nad nowymi oprawami znanych już typów. Wiadomo, że w zasadzie każda rodzina planuje nabycie telewizora. Jednak najpierw kupuje radio. Niestety nasze odbiorniki z wyjątkiem „Stolicy" produkowane są w znormalizowanych skrzynkach, przystosowanych do ustawienia na stoliku. A przecież ten sam odbiornik można umieścić w takiej skrzynce jaką prezentujemy na zdjęciu. Na takim radio-stoliku można ustawić na razie wazon z kwiatami a kiedyś telewizor mając w ten sposób radio i TV zgrupowane w jednym wygodnym miejscu. Jeżeli chodzi o dolny człon prezentowanego zestawu, to naszym zdaniem powinien być on dodatkowo zaopatrzony w adapter.

Jakie są zalety prezentowanego zestawu? Telewizor można po pierwsze kupić osobno, kiedy będą na to pieniądze, a po drugie gdy się zepsuje radio lub odbiornik telewizyjny można dać go do naprawy również osobno.

A poza tym przyznajcie, że wygląda to wcale, wcale.

Zaproponować nie wolno!?

O tańcu

Przed tygodniem wysunąłem dość zuchwałą sugestię, aby program telewizyjny przeplatać dziesięcio- czy też nawet pięciominutowymi wstawkami, na które składałyby się — powiedzmy — występy popularnych piosenkarzy czy tancerzy.

Dziś chciałbym dodać, że taniec w ogóle upośledzony jest w telewizji, że oglądamy go stanowczo zbyt rzadko, a to, co oglądamy, nie zawsze jest najwyższej próby.

A przecież taniec jest aż kuszącą telewizyjny! Kiedyś — przyznaję — byłem zgoła odmiennego zdania, ale oszukała mnie wówczas kiepska praca operatorów, z jaką spotykałem się przy pierwszych próbach przeniesienia tańca na krzywy ekranik. Dziś bije się jednak we własne (i cudze) piersi — jeżeli ktoś powołany jest do popularyzowania tańca z prawdziwego zdarzenia, tańca będącego sztuką, a nie tylko smutnawym popisem półrozebranych panienek — to właśnie telewizja.

Tylko dwa zastrzeżenia. Po pierwsze — praca operatorów musi stać na najwyższym poziomie, musi być wyjątkowo czysta i precyzyjna. Po drugie — mechaniczne przenoszenie do studia układów obliczonych na scenę, z reguły kończy się klęską. Kamery nie nadążają za tancerzem, raz po raz ucieka on z kadru, a jeżeli przechodzimy na dalekie plany — obraz natychmiast staje się zapaćkany i nieczytelny. Piruet czy arabeska są jak najbardziej do oddania w telewizji, natomiast skok już nie bardzo i z tym, niestety, trzeba się liczyć.

Telewizja wymaga statycznych układów. — Przed paroma tygodniami w pierwszym programie telewizyjnego variette, Irena Cieślikówna bodajże z Borkowskim czy też z Kilińskim (przykro mi, ale już nie pamiętam) pokazała na przykład bardzo interesujący układ, w którym oboje tancerze byli opasani napiętymi linami i tym samym niejako „przygwożdżeni" w miejscu. Rzecz wypadła doskonale — ale albo był to układ specjalnie na telewizję obliczony, albo przynajmniej bardzo szczęśliwie dobrany.

Ale przecież dobrać czy też specjalnie dla telewizji taniec opracować — można. Więc?

j. p.

Broni mecenas Rymkiewicz

Wielu czytelników zna zapewne nazwisko Antoniego Marczyńskiego, autora poczytnych w swoim czasie książek sensacyjnych.

Natomiast mało kto wie, że Antoni Marczyński procesował się w roku 1933 z pewnym reżyserem filmowym, zarzucając mu plagiat. Mało kto również wie, że w rok później dwu znanych wydawców warszawskich wytoczyło Marczyńskiemu proces o zniesławienie.

W obu tych sprawach bronił Marczyńskiego warszawski literat i adwokat Władysław Rymkiewicz.

Tak, tak — obecny prezes łódzkich literatów i autor „Romansu królewskiego" drukowanego na łamach „Odgłosów".

Kto ciekawy szczegółów niech zajrzy do „Warszawskiego Pitavala Literackiego" Olgierda Missuny — wydanego w tych dniach przez „Czytelnik".

Dobre pomysły

Gdyby punktować wszystkie dobre pomysły łódzkich instytucji kulturalnych i naukowych najwyższą chyba notę otrzymałoby Muzeum Sztuki. Pomysł jest bowiem naprawdę świetny i jego znaczenie w popularyzacji plastyki — ogromne.

Chodzi rzecz prosta o konkurs plastyczny dla amatorów. Zorganizowany w roku ubiegłym po raz pierwszy cieszył się olbrzymim zainteresowaniem.

Bardzo dobrze, że Muzeum Sztuki nie zamierza zrezygnować z konkursu i w roku bieżącym.

Elżbieta Barszczewska w Łodzi

Jak twierdzą dobrze poinformowani w najbliższym czasie zawita do Łodzi na gościnne występy znakomita aktorka Elżbieta Barszczewska.

Tak więc już za kilka tygodni miłośnicy talentu Barszczewskiej będą mogli podziwiać ją na deskach Teatru Powszechnego w Ibsenowskiej „Norze".

Kącik techniczny

OKO

Telewizyjne oko to kamera. Przy pomocy tego skomplikowanego urządzenia elektryczno-optycznego obrazy przekazywane są do nadajnika. Pokazujemy dziś z bliska dwa typy kamer telewizyjnych. Pierwsza kamera studialna typu „Marconi" używana jest w polskiej telewizji, druga jeszcze przez nas nie stosowana to kamera do zdjęć podwodnych. Szczególnie przydatna okazała się ona przy wydobywaniu wraków i przy obserwacji dna morskiego. Podwodne kamery telewizyjne oddały duże usługi w następnych pracach nad określeniem trasy podmorskiego kanału Anglia — Francja, który ma być zbudowany pod dnem Kanału La Manche.

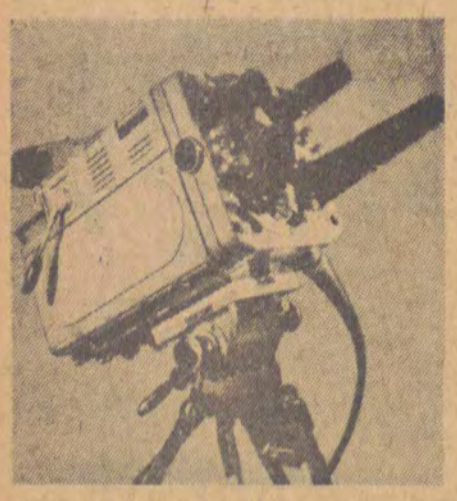

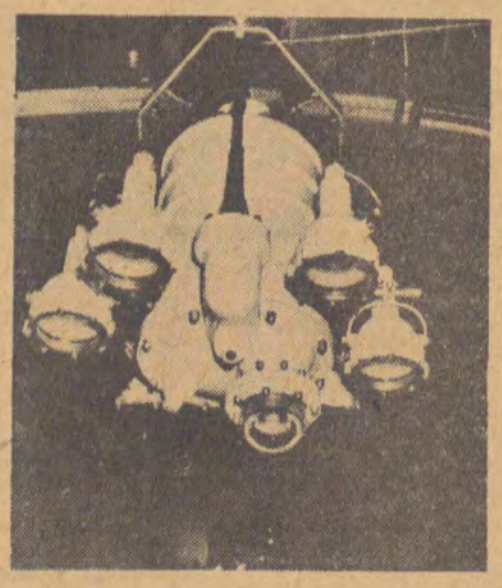

RADZIMY OBEJRZEĆ

Najbliższe kilka dni niestety nie przynoszą żadnych rewelacji w programie telewizyjnym. W czwartek 24 marca radzimy obejrzeć o godz. 20 fragmenty galowego przedstawienia zespołów studenckich (głównie najlepszych STS-ów). Transmisja przeprowadzona będzie z koncertu otwierającego IV Kongres ZSP. O godz. 21 Teatr Sensacji „Kobra" zaprezentuje spektakl pt. „Noże i pistolety".

W piątek godnymi polecenia wydają się nam dwie pozycje programu. O 18.10. program rozrywkowy pt. „Aktualności z uśmiechem" i sztuka Bertolda Brechta prezentowana przez teatr telewizji katowickiej „Strach i nędza III Rzeszy". Początek o godz. 20.30.

Sobota przynosi również dwie ciekawsze audycje, mianowicie program estradowy o godz. 22.10, a wcześniej nieco (o 20.30) film fabularny prod. francuskiej, dozwolony od lat 18 pt. „Gwiazda w cieniu".

W niedzielę, jak zwykle program telewizji jest najsłabszy i wybieramy z niego tylko jedną audycję godną polecenia mianowicie „Sylwetki kompozytorów" o godz. 20.30.

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu Łódź gościła przedstawicieli raczej lżejszej muzy. Odwiedzili bowiem nasze miasto:

Tadeusz Polanowski — znany satyryk i fraszkopisarz, autor wielu zbiorów satyr.

Marek Sart — kompozytor popularnych piosenek, między innymi bijącego ostatnio rekordy powodzenia przeboju „Komu piosenkę..."

Panowie ci przybyli na uroczystość pięciolecia studenckiego teatru „Pstrąg", gdzie ku uciesze zebranych przemawiali (Polanowski) i śpiewali (Sart).

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 214-73. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 1.— zł, kwartalnie 12.— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" Łódź, Zwirki 17 s. 874. III. 60 r. M 4

ZYGMUNT FIJAS

Trudno śpiewać arie z „Madame Butterfly"

Donosimy Czytelnikom „Odgłosów", że Teatr „7.15", zgodnie z tradycjami tej kulturalno-rozrywkowej placówki, zorganizował nareszcie upragnioną składankę — „Humor i ojczyzna". Nie powiem, na jakim poziomie zorganizował, bo o tym publiczność sama będzie mogła sądzić. Powiem natomiast, że jest to program z tekstami również łódzkich satyryków. Wydarzenie? I owszem. Pierwsze koty za płoty w kierunku stworzenia jakiejś grupy satyrycznej, pracującej z teatrem.

Wiadomość o tej imprezie stała się przysłowiowym kijem w mrowisku: poruszyła mrówki innych miast... Jedna z satyrycznych mrówek szczebla centralnego, słysząc o mającej się odbyć imprezie, czy też zawiadomiona o niej telefonicznie, napełniła baki swego wspaniałego auta i sypiąc z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, przybyła do Łodzi, aby zaofiarować swe usługi autorskie i aktorskie. Istnieje bowiem u nas coś w rodzaju centralnej inspekcji satyrycznej, działającej pod hasłem — nie ma żadnej imprezy bez nas, każdy grosz jest dobry, który do naszej kieszeni płynie. Impreza bez centralnych satyryków odbyć się nie może. Ani w Garwolinie, ani w Łodzi.

Stąd też zmotoryzowane jednostki centralnych satyryków penetrują dokładnie teren, sprzedają wszędzie po raz dziesiąty i setny te same kotlety. Ale usługi wyżej wymienionej jednostki zmotoryzowanej nie zostały przyjęte. Były liczone według centralnego taksomierza, a więc za drogie. Co w Warszawie kosztuje 1.000 złotych, w Łodzi zaledwie połowę. Wspomniany termit odbywa nieraz po kilka występów dziennie, każdy po sześćset pięćdziesiąt złotych, zarabia więc miesięcznie — odejmijmy od sumy 30 proc. na nieodzowną w takich wypadkach blagę — no, obniżmy tę kwotę jeszcze do trzydziestu pięciu tysięcy, czyli, w naszych stosunkach będzie tyle, ile dolarów wziął Hemingway za dziesięciostronicowy reportaż z walki byków (35 tys. dolarów wziął).

Że zarobki tego aktora-autora i szofera muszą być wysokie, tego dowodzi jego wspaniałe auto, utrzymanie którego, zgodnie z obliczeniami tyle kosztuje, ile państwo wydaje na kierownika finansowego z wysokimi kwalifikacjami, czyli ponad tysiąc pięćset złotych za miesiąc, albo zatrudnienie humorysty w dojnej dla państwa „Karuzeli", piszącego trzy i ileś tam procent humoresek, lub piętnaście fraszek, oczywiście, jeśli współpracownik jest wybornym fraszkopisarzem typu Sztaudyngera, ach, bo się ugryzłem w język za to zdradzenie tajemnicy zawodowej, w „Odgłosach" zaś, w łódzkim radiu, no, mniejsza o te poczciwe placówki z wężem w kieszeni...

I gdzieśmy zaszli w tych rozważaniach? Właśnie biedziłem się nad tym, gdzie zaszedłem, gdy oto w drzwiach stanął kolega jeszcze z czasów formowania się głównych zarysów charakteru i dyspozycji politycznych, i powiedział: — „Otrzymałeś cztery tysiące nagrody, wiem o tym!... Ale zobacz, co ja otrzymałem!?

To powiedziawszy, ułożył na stole siedem kupek banknotów stuzłotowych, każda po tysiąc złotych i wyjaśnił: — Otrzymałem te pieniądze nie w charakterze nagrody... Zapłacono mi je, bo przetłumaczyłem z niemieckiego do gazet dwadzieścia jednostronicowych noweletek... Otrzymam piętnaście razy więcej, gdy przetłumaczę operetkę.

— Szczęśliwi ci pisarze — rzekłem — co znają obce języki. Mogą w sposób kongenialny przyswajać ojczystej literaturze skarby kultury innych narodów... przez całe tygodnie z twórczymi rumieńcami na twarzach, poszukują odpowiednio celnych wyrażeń, aby te dzieła duchowi rodaka jak najbardziej przybliżyć... Mdleją na kanapach jak Flaubert, bo trawi ich męka poszukiwania.

— Tfy, tfy, tfy — roześmiał się — jakie skarby, jaka męka i o jakim przybliżaniu mowa?... Do tłumaczenia z języka niemieckiego nie jest potrzebna znajomość tego języka... Wystarczy jako tako znać język polski. Schlastałem w ciągu paru dni te noweletki, teraz będę mógł się zabrać do pomalowania mieszkania za tysiąc pięćset złotych, kupię płaszcz synowi, żonie, sobie resztę zaś przeznaczę na żywienie.

— Zupełnie podupadłeś — jęknąłem. — Czy warto było swoją lirę, takimi srebrzystymi dźwięki ongiś brzęczącą, zamieniać na miotłę wyrobnika?

— Trudno — zmiażdżył mnie cytatem z mojego własnego „Portretu z sera" — trudno mieć nogę przyciśniętą... kłodą i równocześnie śpiewać arie z „Madame Butterfly".

— Ale nie podpisujesz się oczywiście pod tymi podłymi, mniemam, tłumaczeniami? — zapytałem, trąc nos obu kciukami bo coś mnie w tym przyrządzie do wąchania zaświerzbiło.

— Byłbym głupcem — odpowiedział. — Czy przyjemnie być pociąganym przez prokuratorów... Wydano przecież ustawę o zbywaniu produktów złej jakości... A po drugie: czy nie wiesz, że za dobre nazwiska należy dobrze płacić, w Polsce zaś nieźle zarabiają ci, co posiadają dobre nazwiska, lecz ci, co trzymają w dłoniach transparenty z dobrymi nazwiskami. Amen.

Konstanty ROTOW

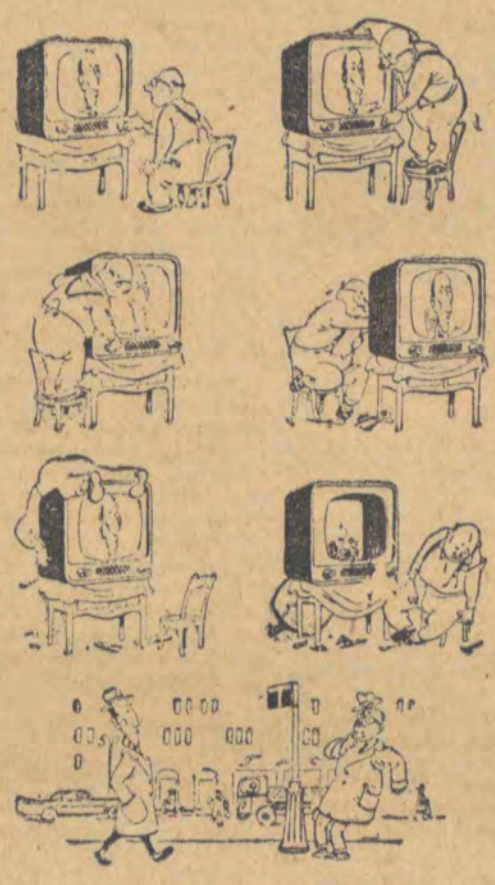

Telewizja nie kłamie

Ostra, bezkompromisowa, pryncypialna — takie i podobne przymiotniki określały przez długi okres karykaturę radziecką. Lecz równocześnie wskazywały jej główny niedostatek: pewną jednostronność, zbyt mały ładunek komizmu. Nie wiedzieć czemu — wbrew tradycjom literackim Gogola i Czechowa — wyrugowano z satyry element humoru. Rysunek satyryczny stał się niemal wyłącznie mniej lub bardziej lapidarną publicystyką.

Lecz przecież istniały wyjątki od tych zasad, choć zagubione i rzadkie, odstępowały dość wyraźnie od oficjalnego wzorca. Istniała nieliczna grupa rysowników, którzy przy najbardziej ważkim temacie — nie chcieli się wyrzec komizmu.

Należał do nich — niestety już nieżyjący — Konstanty Rotow. Przez 22 lata współpracy z „Krokodylem" stał się on ulubionym autorem czytelników tego pisma.

Ceniono Rotowa nie tylko za celność jego karykatur. Głównym atutem tych żartów była pomysłowość — a nade wszystko poczucie humoru. Dobroduszny uśmiech nie opuszczał Rotowa nawet wtedy, gdy podejmował najbardziej ważkie tematy.

Był rysownikiem pełnym fantazji. W wielopostaciowych żartach przypomina czasem Francuza Dubout, w historyjkach obrazkowych — Duńczyka Bidstrupa. Ale świadczy to raczej o wszechstronnym talencie, wyobraźni Rotowa, o świetnym opanowaniu różnych form dowcipu — niż o świadomych zapożyczeniach.

Rotow żył w latach 1902 — 1959. Wydał szereg zbiorów swoich żartów, ostatni z nich ukazał się ostatnio w nakładzie 215 tysięcy egzemplarzy! „Gwoździem" najnowszego zbiorku jest cykl rysunków o koniach, pn. „Końska symfonia".

(J—ert)

Wspólna kuchnia

Z cyklu:

„Końska symfonia"

NASZA KRZYŻÓWKA

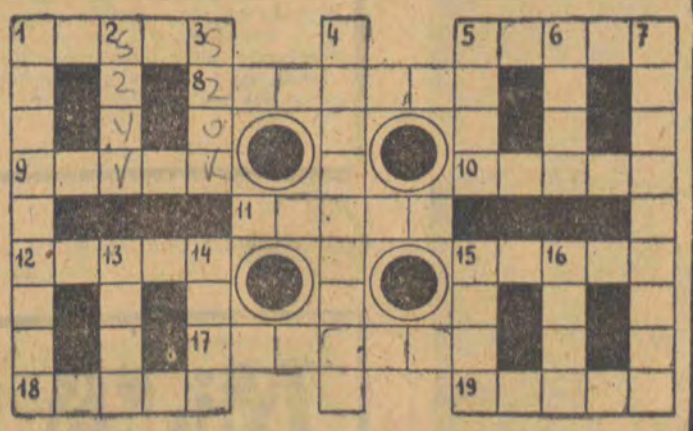

ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo — 1) Owoc palmy, 5) Imię męskie, 8) Zadymka, zamieć, 9) Lekka łódź sportowa, 10) Pasza, 11) Rzymska bogini łowów, 12) Naczynie drewniane, 15) Owad, 17) Kolczasty krzew z rodzaju śliw, 18) Narzecze ludowe, 19) Miasto powiatowe w województwie olsztyńskim.

Pionowo — 1) Figura akrobacji lotniczej, 2) Fason, kształt nadany ubraniu, 3) Nagły wstrząs, 4) Sklepienie niebieskie, 5) Planeta, 6) Skała podwodna, 7) Port rybacki nad Bałtykiem, 13) Wykwintna gruszka, 14) Aromatyczna roślina o żółtych kwiatach, 15) Sklepik, 16) Miara długości.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Poziomo — jarzyna, psotnik, **buda**, góral, aria, karton, nagana, bas, stopa, Albin, tok, kubryk, patera, bila, Szkot, piła, literat, kantata.

Pionowo — jabłko, radar, nagan, salon, norka, krawat, ryba, Tatar, gwint, bat, sak, skobel, otok, zasada, balet, kusza, patka, egida,

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali

1. Irena Osadowa, Rawa Mazowiecka, ul. Kilińskiego 2, 2. Jan Hans, Pabianice, ul. Żukowa 5.

DUŻE BRAWA

dla Łódzkiej Komisji Młodzieżowej Służby Ruchu, która organizuje w marcu br. konkurs-ankietę we wszystkich starszych klasach szkół łódzkich na temat znajomości przepisów ruchu drogowego.

Mamy nadzieję, że na tym nie skończą się próby zaznajomienia młodzieży szkolnej z obowiązującymi przepisami poruszania się na drogach publicznych pieszych i rowerzystów.

DLACZEGO?..

...we wszystkich stacjach benzynowych CPN inaczej obsługuje się posiadaczy samochodów czterosuwowych a inaczej właścicieli samochodów dwusuwowych?... Ci ostatni kupując mieszankę paliwową zmuszani są własnoręcznie ją szykować, gdyż pracownicy CPN sprzedają osobno benzynę i osobno olej i jedynie łaskawie użyczają naczynia do przygotowania mieszanki, uważając widocznie, że czynności zmieszania należą już do właściciela samochodu... Chyba coś tu nie jest w porządku?

* * *

...piękne 5-litrowe karnisterki, które można kupić w sklepach „Motozbytu" sprzedawane są wyłącznie napełnione oliwą?... Czy nie można by ich sprzedawać również luzem?...

Przedstawiamy interesującą statystykę składu socjalnego nabywców samochodów osobowych w łódzkim „Motozbycie" za cały rok 1959. Uwzględniono tu wszystkich indywidualnych nabywców, którzy kupili samochody zarówno za gotówkę jak i na raty.

1. Lekarze	22,7%
2. Taksówkarze	20,7%
3. Pracownicy umysłowi (bez bliższego określenia)	16,6%
4. Inżynierowie	9,3%
5. Rzemieślnicy	9,0%
6. Technicy	4,6%
7. Pracownicy fizyczni	4,3%
8. Nauczyciele	2,6%
9. Adwokaci	2,4%
10. Artyści	2,1%
11. Oficerowie WP	1,3%
12. Bez zawodu	1,2%
13. Rolnicy	0,7%
14. Pracownicy naukowi	0,5%
15. Księża	0,5%
16. Farmaceuci	0,4%
17. Górnicy	0,4%
18. Pielęgniarki	0,4%
19. Dziennikarze	0,2%

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Stare, dobrze wypróbowane miejsce

Kluczową sceną filmu Różewiczów i Filipowicza wydaje mi się rozmowa dyrektora domu poprawczego z Andrzejem, przeprowadzona w izolatce. — „Nie wiesz dlaczego to zrobiłeś? — Człowiek zawsze powinien wiedzieć, co robi i dlaczego to robi" — powiada dyrektor.

Andrzej — bohater „Miejsca na ziemi" — nie wie dlaczego ukradł motocykl sprzed „Savoyu", nie wie potem, dlaczego uciekł z domu poprawczego. Kradzież jest tu sprawą impulsu, ucieczka — sprawą przypadku.

To stwierdzenie jest właściwie punktem wyjścia dla autorów filmu. Natomiast system motywacji i wniosków — ukazany w filmie — liczy się chyba jako (pierwszy poważny) „głos filmowy" w dyskusji o młodzieży, a przynajmniej o pewnym jej odłamie, o tzw. „młodzieży trudnej".

Obraz życia Andrzeja w mieście, konkretniej — w Łodzi, nie jest, jakby się pozornie wydawało — fałszywy. Jest może świadomie przejaskrawiony. Chodziło o podkreślenie samotności, przekonanie widza, że Andrzeja nie łączy nic z kolegami, więcej — że nic nie łączy wszystkich poszczególnych jego kolegów. Chodziło dalej o wyraźne stwierdzenie, że wspólną cechą młodzieży „wykolejonej" jest absolutny brak dążeń zainteresowań, rezygnacja z jakichkolwiek poszukiwań w tym kierunku. Tylko na takim tle działanie może mieć charakter przypadku.

Wnioski padają w sekwencji rozgrywającej się nad morzem. Tutaj autorzy filmu wskazują właściwe miejsce dla siedemnastolatków takich, jak Andrzej.

Miejsce to — trzeba powiedzieć — stare, już wypróbowane, a od kilku lat niesłusznie zapomniane — kolektyw.

Różni się on jednak od „kolektywów" lansowanych w filmach z okresu schematyzmu. Jest potraktowany bardziej uniwersalnie, a zarazem stworzony w konkretnym środowisku które ma mu zapewnić autentyczność — wśród rybaków, znanych z silnego poczucia koleżeństwa i więzi społecznej. Niemniej oddziaływanie tego kolektywu jest podobne: *wychowawcze oddziaływanie na jednostkę.*

Kolektyw składa się z ludzi dojrzałych, starych marynarzy znających kawałek świata i ludzi. Ci ludzie mogli mieć szansę oddziałać na Andrzeja. Mimo to, przemiana Andrzeja nie wydaje mi się do końca przekonywająca. Ostatnie sceny filmu przyjmujemy z biernym wzruszeniem, tym wzruszeniem, którego pojawienie się neutralizuje intencje dzieła sztuki. Końcowe sceny tego świetnego zresztą filmu wydają mi się po prostu złe, brzmi w nich fałsz. One to w poważnym chyba stopniu osłabiają intelektualna zawartość filmu.

A jednak pojawienie się „Miejsca na ziemi" na ekranach jest wydarzeniem. Jest to nowy i mocny głos w toczącej się nieustannie dyskusji o młodzieży. Film ten będzie także dużym wydarzeniem dla Łodzi. Nie dość powiedzieć że jest to pierwszy, fabularny, pełnometrażowy film, którego akcja rozgrywa się w znacznej części na terenie naszego miasta. Działanie Andrzeja uwarunkowane jest istnieniem tego miasta na ekranie, uwarunkowane basenem łódzkiego odrapanego podwórka, atmosferą mieszkania robotniczej rodziny.

Na zakończenie warto chociaż zwrócić uwagę na doskonałe zdjęcia Władysława Forberta i Stanisława Lotha, na staranną kompozycję kadru, na kreację świetnego aktora — Kazimierza Fabisiaka w roli jednego z rybaków, a przede wszystkim — na Stefana Friedmana w roli Andrzeja (Glenek od Matysiaków). Rzadko zdarza się oglądać w filmie takiego debiutanta.

„MIEJSCE NA ZIEMI" — film prod. polskiej, ZRF — „Rytm". Scenariusz: Tadeusz Różewicz i Kornel Filipowicz, reżyseria: STANISŁAW RÓŻEWICZ. Zdjęcia: Władysław Forbert i Stanisław Loth, w roli głównej: Stefan Friedman.

Teresa Tuszyńska w scenie z filmu Janusza Morgensterna — „Do widzenia, do jutra". Film ten ukaże się niebawem na ekranach.

„Montparnasse 1919"

Tak się smutnie składa, że pisząc o filmie „Montparnasse 1919" trzeba używać czasu przeszłego w stosunku do jego twórców: reżysera i odtwórcy głównej roli. Parę miesięcy temu zmarł niespodziewanie dla wszystkich Gerard Philipe, kilkanaście dni temu zmarł w wieku lat 54 Jacques Becker twórca takich dzieł jak „Rodzina Goupi", „Antoni i Antonina", „Złoty kask".

W smutnym nastroju toczy się akcja Ich wspólnego filmu. Na tle niełatwego i pełnego upokorzeń życia Modiglianiego — twórcy chcieli pokazać jaśniejsze fragmenty w życiu malarza. Wyeksponowali na pierwszy plan jego miłość do młodej Katarzyny. Zrezygnowali z całej biografii na rzecz epizodu. Czy słusznie? Raczej nie. Oczywiście że w półtoragodzinnym filmie nie można było zmieścić całego materiału biograficznego dotyczącego Modiglianiego, a nawet materiału powieści „Les Montparnos" według której napisano scenariusz. Można jednak chyba było ograniczyć wątek melodramatyczny do potrzebnego minimum, zaś pełniej pokazać życie paryskiej cyganerii, zwłaszcza malarzy w okresie roku 1919. „Montparnasse 1919" jest tylko filmem o Modiglianim — człowieku kochającym, kochanym i nieszczęśliwym alkoholiku. Twórcy filmu pominęli malarstwo wielkiego artysty. Parę fragmentarycznych ujęć z kilkoma reprodukcjami nie wystarcza. Obrazy Modiglianiego w filmie stały się tylko drugoplanowymi rekwizytami, jak krzesło, stół czy ściana.

Tyle spostrzeżeń o scenariuszu. W poważnym stopniu braki te są zrekompensowane przez kreacje aktorskie. Gerard Philipe odtworzył postać Modiglianiego z wielkim kunsztem aktorskim. Jego Modigliani jest lirycznym kochankiem, ale równocześnie nieszczęśliwym, niezrozumianym człowiekiem, często bezradnym i bezbronnym jak małe dziecko.

W pozostałych rolach grają m. in.: Anouk Aimee, Lili Palmer, Lea Padowani, Lino Ventura. Autorem zdjęć jest jeden z najlepszych francuskich operatorów Christian Matras. Szkoda tylko, że filmu o malarzu nie nakręcono na taśmie barwnej.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Dziewczęta z Charley Ballet w Paryżu. Wiele z nich trafia stąd do filmu...

EKRANIK

W OSTATNICH DNIACH bieżącego miesiąca zostaną definitywnie zakończone zdjęcia do obu części filmowych „Krzyżaków". Ten sprawny i terminowy przebieg realizacji jest ogromnym sukcesem całej ekipy. Wyliczmy bowiem choćby kilka zasadniczych trudności, które przezwyciężyć musieli twórcy: zdjęcia barwne i szerokoekranowe, kręcone w różnych porach roku, udział ogromnego zespołu aktorskiego z różnych teatrów, sceny batalistyczne, konieczność stałej troski o wierność historycznych detali... Wystarczy? Pozostaje tylko życzyć realizatorom... i widzom, by w ślad za sukcesem produkcyjnym nastąpił sukces artystyczny „Krzyżaków".

NARZEKAMY na brak komedii na naszych ekranach. Tymczasem — jak się zdaje — nie bardzo potrafimy je znaleźć. Wspomniano już w „Mieszance", że warto by sprowadzić do Polski niejeden film braci Marx, tym bardziej że są to pozycje z pewnością t a n i e. Nie wyzyskane możliwości kryją się także w kinematografii francuskiej. Istnieje np. taki znakomity komik młodego pokolenia, Darry Cowl (widzieliśmy go u nas tylko raz, w kapitalnym epizodzie reżysera, w filmie Sachy Guitry „Takich dwóch jak nas trzech"). Cowl kręci jeden film za drugim, bezpretensjonalne zwariowane komedie — jakich najbardziej brak w naszym repertuarze. Jest więc z czego wybierać — a na Fernandelu komedia się przecież nie kończy...

ZBIGNIEW CYBULSKI ma podobno zagrać jedną z głównych ról w przygotowywanym filmie reż. Andrzeja Wajdy „Pierwszy dzień wolności", wg znanej sztuki Leona Kruczkowskiego. Zanim jednak zacznie się realizacja filmu, Cybulski wyjedzie na Festiwal do Paryża, jako aktor teatru „Wybrzeże", który właśnie tam przedstawi tę sztukę.

WŚRÓD ZAKUPIONYCH do Polski filmów Walta Disneya znajduje się m. in. rewelacyjna adaptacja powieści Juliusza Verne „20.000 mil podmorskiej żeglugi".

„NORMANDIE-NIEMEN", film Jean Drevilla o francuskim dywizjonie lotniczym, walczącym z Niemcami na froncie wschodnim — wszedł równocześnie na ekrany Moskwy i Paryża. Krytycy obu stolic przyjęli niemal entuzjastycznie pierwszy koprodukcyjny film Francji i ZSRR.

„NA PLAŻY" — sławny już na całym świecie, antywojenny film amerykański reż. Stanley Kramera — będzie również wyświetlany w Polsce.

BASIA KWIATKOWSKA — która od paru miesięcy przebywa w Paryżu, występując w filmie „Tysiączne okno", jest bardzo chwalona przez realizatorów — otrzymała podobno od francuskich producentów dalsze propozycje objęcia nowych ról.

PO DŁUGICH OPORACH Okręgowy Zarząd Kin w Łodzi zdecydował się wreszcie zorganizować Festiwal Etiud Szkolnych PWSTiF, w kinie „Gdynia", od 31 marca. Może OZK przełamie także inne opory i zdecyduje w końcu o uruchomieniu w którymś z łódzkich kin s t a ł y c h programów krótkiego metrażu?

DONALD